NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 26 września 1908. Nr. 39.

Śmierć w płomieniach.

(Treść na str. 2).



Od Administracyi.

Ponieważ z numerem niniejszym kończy się trzeci kwartał, przypominamy Szanownym P. T. Abonentom naszym, że

czas odnowić przedpłatę!

W tym celu załączamy do dzisiejszego numeru przekazy pocztowe dla naszych P. T. Abonentów galicyjskich i prosimy o nadsyłanie przedpłaty według wydrukowanego na przekazie adresu:

Administracya »Nowości Illustrowanych«

Kraków, ul. Zacisze 7.

Prenumerata do końca roku wynosi z przesyłką pocztową **tylko 4 korony!**

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem można prenumerować pismo nasze za pośrednictwem wszystkich tamtejszych księgarń lub najlepiej wprost przez naszego głównego zastępcę, t. j.

Biuro G. Ungra w Warszawie,

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata do końca roku wynosi tylko **1 Rbs. 80 kop.**, a z przesyłką pocztową **2 Rbs. 60 kop.**

Śmierć w płomieniach.

(Do illustracyi tytułowej).

Ofiarą strasznego wypadku padła przed kilku dniami żona rabina z Lubaczowa, Feiga Schorrowa. Oto w towarzystwie kilku kobiet udała się ona na cmentarz izraelicki w Lubaczowie, aby tam odprawić na grobie zmarłego niedawno członka rodziny rytualne modlitwy. Stosownie do przepisu rytualnego trzymały wszystkie kobiety podczas modlitwy płonące świece w ręku. Spowodowało to straszny wypadek. Mianowicie jedna ze świec wypadła z rąk trzymającej ją kobiety, wskutek czego zajęły się suknie żony rabina. W jednej chwili stanęła nieszczęsna kobieta w morzu płomieni. Mimo niezwłocznego ratunku odniosła ona przy tem tak ciężkie rany i poparzenia, iż w parę godzin potem wyzionęła ducha.

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia tragiczną chwilę, gdy płomienie obejmują suknie bł. p. Feigi Schorrowej.

Cesarskie manewry na Węgrzech.

Tegoroczne manewry cesarskie armii austro-węgierskiej odbyły się na Węgrzech, w okolicy Veszprimu w obecności cesarza, następcy tronu, oraz zagranicznych oficerów. Główna kwatera monarchy znajdowała się w samem Veszprim, w rezydencyi miejscowego biskupa, gdzie cesarz zajmował wraz z najbliższem otoczeniem kilkanaście apartamentów.

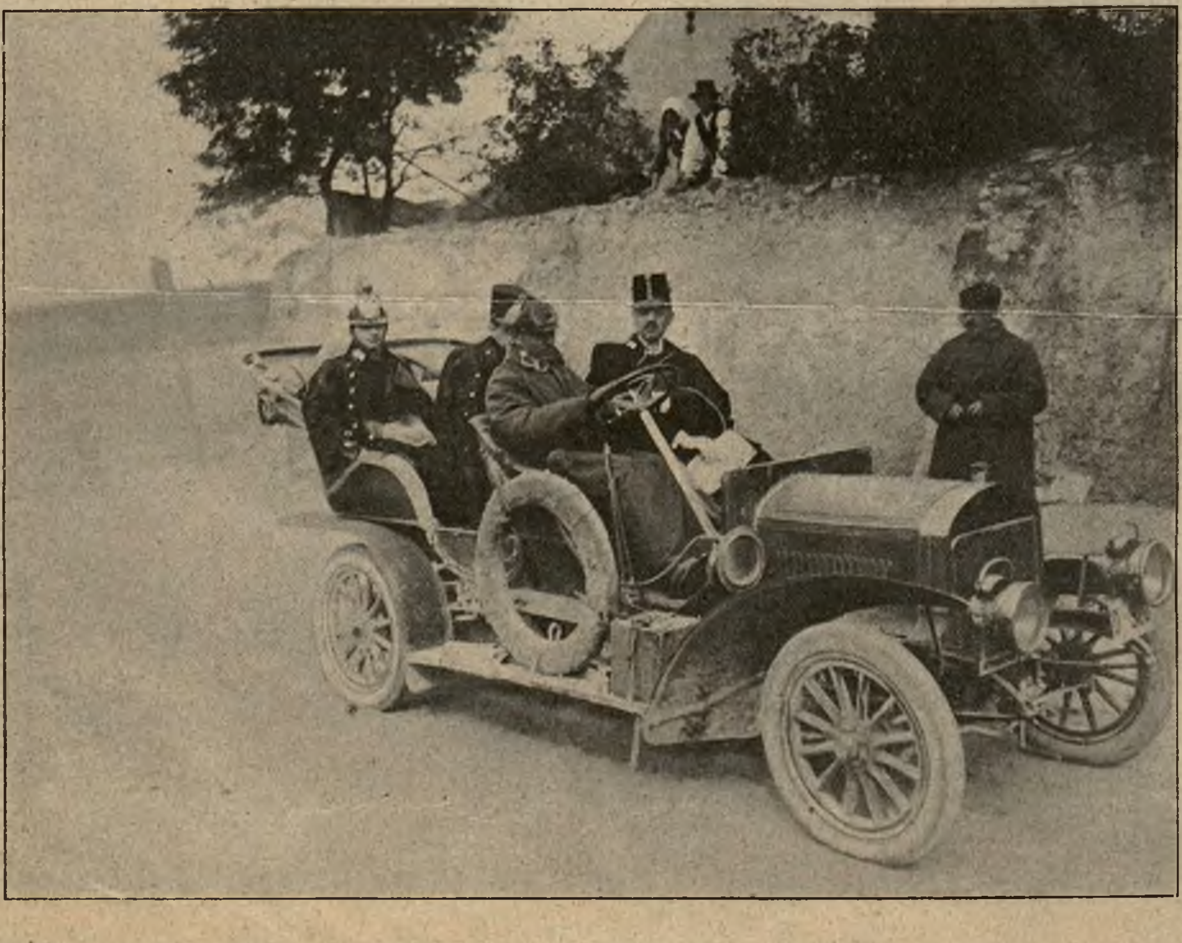
Dowódcami obu armii byli znani w Galicyi bar. Albori i gen. Fiedler, naczelne zaś kierownictwo spoczywało w rękach arcyks. Franciszka Ferdynanda.

Właściwe manewry rozpoczęto w dniu 16 b. m., w którym to dniu podjazdy obu stron walczących przekroczyły linię demarkacyjną, aby wybadać sytuacyę na nieprzyjacielskim terenie i zebrać pewne wiadomości. Zadaniem ich jest również niszczenie komunikacyi, naprawa zniszczonych połączeń, prowizoryczne obsadzanie ważnych strategicznie miejsc itd., aby ułatwić postępowanie naprzód głównym siłom, które za nimi postępują. W pierwszej linii posuwa się kawalerya. Południowa armia, zostająca pod dowództwem gen. Fiedlera, która miała za zadanie przeprowadzić ofenzywę, posuwając się w stronę Wiednia lub Budapesztu — miała skutkiem trudności terenowych ogromnie ciężkie zadanie, gdyż manewry odbywały się tuż nad jeziorem Błotnem i w okolicy lasu Bakońskiego, natomiast armia północna, broniąca dostępu, znajdowała się w o wiele dogodniejszem położeniu. Właściwa walka trwała w dniach 16 i 17 września przez całe dwa dni i noc, a wynik jej wypadł na korzyść armii północnej, zostającej pod rozkazami bar. Alboriego. Skombinowany korpus nieprzyjacielski wyparto z pod Veszprim, a wszystkie jego wysiłki, by odzyskać utracone pozycye, pozostały bez skutku.

W obecnych manewrach wypróbowano wszystkich najnowszych zdobyczy, mogących znaleść zastosowanie na polu walki. Polny telegraf i telefon funkcyonowały bez zarzutu, również telegraf bez drutu okazał się doskonałym, przenosząc depesze na odległość 100 kilometrów. Ochotniczy korpus automobilowy, w sile 21 samochodów, oddawał znakomite usługi i zyskał najwyższe uznanie i pochwałę. Używano także balonów captiv. Postawa wojska i zdrowotność były wyborne. Po skończeniu manewrów odjechał cesarz do Budapesztu, wyraziwszy dowódcom i wojsku najwyższą pochwałę i podziękowanie.



Manewry cesarskie na Węgrzech: Cesarz Franciszek Józef i arcyks. Franciszek Ferdynand badają rozmieszczenie wojsk.



Manewry cesarskie na Węgrzech: Arcyksiążę Karol Franciszek Józef udaje się na pole walki.



Nowy marszałek Czech Ferdynand książę Lobkowitz.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy kilka zdjęć fotograficznych, przedstawiających ważniejsze momenty z manewrów.

Nowy marszałek Czech.

Obecnie, gdy w większej części krajów koronnych austryackich rozpoczęły obrady sejmy krajowe, które przed zwołaniem delegacyj mają się uporać z załatwieniem najważniejszych postulatów krajowych, publiczna uwaga zwróciła się i na nowych marszałków, których cesarz zamianował z powodu rozpoczęcia się nowej kadencyi sejmowej. U nas zatrzymał nadal laskę marszałkowską hr. Stanisław Badeni, którego podobiznę podaliśmy w poprzednim numerze, w Czechach zaś zastąpił księcia Jerzego Lobkowitza książę Ferdynand Lobkowitz. *Le roi est mort, vive le roi!*

Nowomianowany marszałek, pochodzący z raudnickiej linii rodu książąt Lobkowitzów, liczy obecnie 58 lat życia, a po wystąpieniu z wojska, gdzie dosłużył się rangi majora, poświęcił się pracy społecznej i z wiernokonstytucyjnej wielkiej własności wybrany został posłem do Rady państwa, gdzie pracował gorliwie aż do roku 1892, w którym cesarz zamianował go dożywotnim członkiem Izby panów. Jego stanowcze wystąpienie w kwestyi agrarnej i gorliwe popieranie spraw rolniczych, zjednało mu ogromną sympatyę rolników czeskich.

Debiut ks. Lobkowitza na krześle marszałkowskim, choć nie jest on w kwestyach społecznych nowicyuszem, nie wypadł jednak zadawalniająco, gdyż nie udało mu się zażegnać burzy czesko-niemieckiej, jaka srożyła się zaraz podczas pierwszego posiedzenia sejmu. Stanowisko marszałka czeskiego jest bardzo trudne i odpowiedzialne, a bardzo wiele zależy od jego dyplomatycznych zdolności, politycznej przebiegłości, a głównie osobistego taktu, którego obecnemu marszałkowi nie brakuje. Sprawą językową w Czechach zajmował się on już dawniej, gdyż właśnie upływa dziesięć lat od chwili, jak zażądał utworzenia specyalnej komisyi, któraby zajęła się załatwieniem tej sprawy. Wprawdzie wiadomo, że w Austryi odesłanie sprawy „do komisyi“ równa się jej pogrzebaniu, w każdym razie jednak jest to dowodem, że już wtedy interesowała marszałka ta sprawa, która teraz stała się znowu aktualną.

W bieżącym numerze podajemy portret zwierzchnika czeskiej autonomii, sądząc, że przez to uczynimy zadość życzeniom naszych Czytelników, zajmujących się losami pobratymczego narodu czeskiego.



Pięćsetlecie stolicy Bukowiny: Teatr miejski w Czerniowcach.



Pięćsetlecie stolicy Bukowiny: Katedra prawosławna w Czerniowcach.



Manewry cesarskie na Węgrzech: Patrol dragonów przy obsługiwaniu telefonu polnego.

Pięćsetlecie stolicy Bukowiny.

W roku bieżącym przypadła pięćsetna rocznica założenia stolicy Bukowiny, Czerniowiec. Miasto to niewielkie, liczące około 60.000 mieszkańców, odznacza się prześlicznem położeniem, wielką czystością i mnóstwem ogrodów. Jako stolica kraju koronnego jest siedzibą naczelnych władz rządowych i autonomicznych, oraz arcybiskupa wschodniego obrządku. Od r. 1875 mają Czerniowce uniwersytet z językiem wykładowym niemieckim, kilka gimnazyów, szkołę realną, seminaryum, szkoły ludowe i zawodowe, a z pośród budynków odznaczają się pięknością zwłaszcza kościół ormiańsko-katolicki, nowa katedra prawosławna, nowy teatr miejski, synagoga, pałac arcybiskupi i wiele innych.



Pięćsetlecie stolicy Bukowiny: Kościół ormiańsko-katolicki w Czerniowcach.



Pięćsetlecie stolicy Bukowiny: Synagoga w Czerniowcach.



Katastrofa Parsevala: Rozbity balon w ogrodzie willi pod Grünewald.

Z powodu rocznicy założenia miasta, odbyły się w Czerniowcach w ciągu dwu dni ostatniego tygodnia, tj. w sobotę i niedzielę wspaniałe uroczystości przy udziale naczelników władz miejscowych oraz wielu gości z poza Czerniowiec, a nawet z poza Bukowiny. Przybyli też delegaci z Galicyi, ze Lwowa prezydent Ciuchciński, z Krakowa prezydent dr. Leo, z Wiednia wiceburmistrz Neumayer, a nadto wielu reprezentantów miast większych i mniejszych.

Z powodu uroczystości całe miasto było dekorowane chorągwiami. Pierwszego dnia rano odbyły się we wszystkich świątyniach uroczyste nabożeństwa, poczem w pałacu arcybiskupim nastąpiła oficyalna część uroczystości. Mowę jubileuszową wygłosił radny Kaindl, poczem przewodniczący komitetu obywatelskiego Weiser wręczył burmistrzowi nową chorągiew miasta i dyplom, dotyczący łańcucha burmistrzowskiego, ofiarowanego przez obywatelstwo. Z kolei przemawiali burmistrz baron Fürth, prezydent kraju Bleyleben, a następnie reprezentanci miast Wiednia, Lwowa i Krakowa, składając życzenia miastu Czerniowcom.

W niedzielę odbyły się dalsze uroczystości, a zakończeniem ich było przedstawienie w teatrze i przyjęcie na cześć gości.

Delegacya m. Wiednia zwiedziła w drodze powrotnej stolicę Galicyi Lwów, podejmowana gościnnie przez prezydyum miasta.



Dziesięciolecie prezesury w T. S. L.: Prezes dr. Ernest Bandrowski.

Katastrofa Parsevala.

Niema obecnie tygodnia, aby telegraf nie doniósł o jakiej nowej katastrofie balonowej. Po Zeppelinie i Wrighcie przyszła kolej na balon majora Parsevala, który uległ częściowemu zniszczeniu w dniu 16 września br.

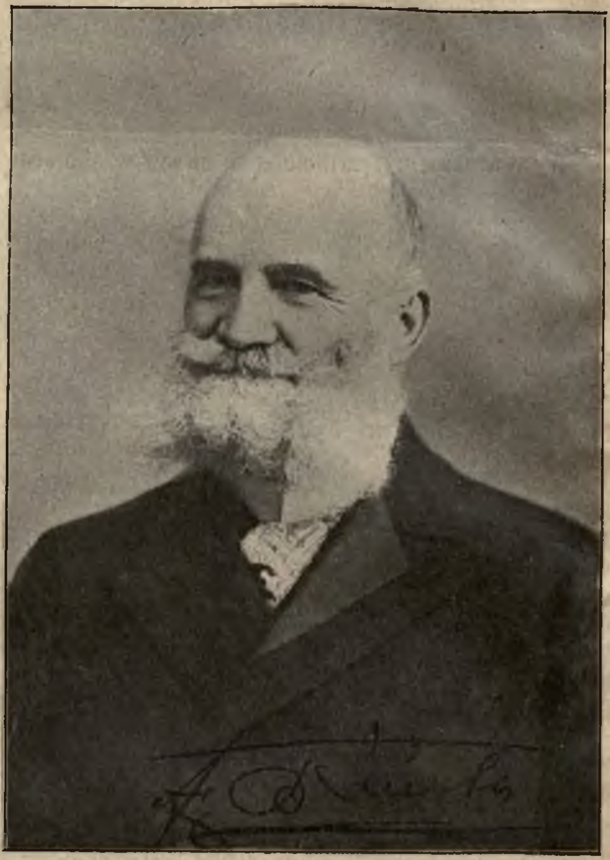
Na rozkaz cesarza Wilhelma miał balon przedsięwziąć wzlot z pola ćwiczeń wojskowych w Teglu. Wkrótce po wzlocie spostrzeżono, że balon zaczyna się chwiać w powietrzu, a wkrótce pękła jedna z ram, rozpinających skrzydło, które skutkiem silnego wiatru zostało zwinięte. Skutkiem pęknięcia powłoki zewnętrznej zaczął gaz uchodzić, a balon pozbawiony steru stracił swą pierwotną formę i rozpoczął gwałtownie opadać z chyżością 8—10 metrów na sekundę. Szczęśliwie udało się ominąć tor kolejowy, a po chwili zaczepiła łódź i sznury balonowe o drzewa ogrodu willi, leżącej pod Grünewaldem, co osłabiło siłę, z jaką balon opadał i uratowało aeronautów. Łódź uległa zupełnemu zniszczeniu, uderzywszy o ścianę willi, motor sam poniósł tylko lekkie uszkodzenia, natomiast zewnętrzna powłoka balonu podziurawioną została przez gałęzie. Szkody dadzą się rychło naprawić. Ofiar w ludziach na szczęście tym razem nie było.

Dziesięciolecie prezesury w T. S. L.

Przed kilkunastu dniami odbył się w Jarosławiu doroczny, walny zjazd członków Tow. Szkoły ludowej. Zjazd ten, niezwykle liczny, wykazał coraz bardziej wzrastające siły tego pożytecznego towarzystwa, wykazał nowe postępy i nowe zdobycze na polu pracy oświatowej.

Nie ulega zaś najmniejszej wątpliwości, że lwia część zasług przypada prezesowi T. S. L., dyrektorowi dr. Ernestowi Bandrowskiemu, który objąwszy przed dziesięciu laty ster rządów w tej instytucyi, kiedy ona poczęła dopiero swą działalność na bardzo skromne rozmiary, po dziś dzień godność tę piastuje i prowadzi powierzoną swej pieczy pracę do coraz wspanialszych, imponujących wprost rezultatów.

Z tego też powodu uczestnicy tegorocznego zjazdu urządzili na cześć cenionego prezesa serdeczną i gorącą owacyę i na wniosek wiceprezesa dr. Adama mianowali go członkiem honorowym T. S. L. Ponadto uchwalono szkole wzorowej, mającej w najbliższym czasie powstać staraniem i kosztem towarzystwa, nadać imię: „Szkoły ludowej T. S. L. imienia Ernesta Bandrowskiego“.



Pięćsetlecie stolicy Bukowiny: Burmistrz baron Fürth.



Katastrofa Parsevala: Wóz pionierski przewożący szczątki balonu do Tegel.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

15 CZĘŚĆ DRUGA. (Ciąg dalszy).

W pierwszych dniach grudnia opuścili oboje Warszawę i udali się naprzód do Monte-Carlo. Tam zamieszkali w willi, położonej przy drodze, wiodącej do Roquebrune, w znacznem oddaleniu od ruchu i wrzawy, panującej w okolicy tak zw. „Casino“, czyli domu gry.

— Pojedziemy do mnie dopiero wtedy, gdy oczekiwana chwila się zbliży.

— Do... ciebie?

— Tak, do Castillon... do wioski mojej matki.

Zofia drgnęła.

W Warszawie i Miłośnie, a nawet w samotności, jaka tu panowała w tej mało zamieszkanej dzielnicy Monte-Carlo, czuła się bezpieczną; nie lękała się miłości męża. Zresztą, można było mniemać, że miłość jego zgasła. Korf obchodził się z nią, jak kochający brat, a ona bez obawy, chociaż z ukrywanem niezadowoleniem, przyjmowała pełne zupełnego spokoju i chłodnej przyjaźni pocałunki, które składał na jej czole. Wszystko to jednak zmieniło się od czasu ich przybycia na jasne wybrzeże. Kiedy niekiedy znowu widywała w oczach męża błyskawice namiętności. Wieczorami miewał ręce rozpalone. Domyślała się, że noce spędza bezsennie.

W rzeczy samej baron w miarę zbliżania się do celu, coraz mniej panował nad sobą, a może tylko nie dość starannie ukrywał bardzo umiejętnie tajone dawniej zamiary i myśli.

Pewnego wieczora pokazał jej list, który otrzymał od matki. Rutkowska donosiła, że w Castillon wszystko już gotowe na ich przyjęcie.

— Jedyne to miejsce na świecie, moja droga — rzekł Korf wesoło — w którem będziemy mogli obejść prawo i oszukać ludzi, nie lękając się szkody, jaką przynieśćby nam mogła paplanina plotkarzy i plotkarek.

Następnego wieczora Zofia, która zwykle dość wcześnie udawała się na spoczynek, chociaż się położyła, usnąć nie mogła. Czuła jeszcze na licach gorący pocałunek, którym mąż pożegnał ją na dobranoc. Ponieważ powietrze, rozgrzane w dzień słońcem południa, było jeszcze ciepłe, wstała z łóżka i usiadła w otwartem oknie, lecz cofnęła się natychmiast, spostrzegła bowiem Korfa z cygarem w ustach, przechadzającego się przed willą po drodze. Chwilami zatrzymywał się, wpatrując się w oślepiającą oczy illuminacyę Monte Carlo i marzył:

— Tu jeszcze jesteśmy w kraju cywilizowanym, w którym najsłabsza kobieta stawić może opór najenergiczniejszemu mężczyźnie, w którym, przy najostrożniejszem usiłowaniu z mojej strony, Zofia mogłaby uciec, albo znaleźć obrońcę w pierwszym lepszym przechodniu... lecz tam, w górze, pomimo niezbyt znacznej stąd odległości, daleką będzie od kulturalnego świata, pozbawioną wszelkiej opieki, zależną odemnie tylko... tylko odemnie!...

Raptem Monte-Carlo pogrążyło się w ciemności. Dom gry wraz z wszystkiemi, należącemi do niego oficynami, zamykał swoje podwoje. Zofia, ukryta za firanką rozwartego okna, doznała strasznego wrażenia osoby, zapadającej się w bezdenną przepaść...

Nazajutrz wyruszyli oboje w drogę do Castillon. Mąż tłumaczył jej, że instalacya tam będzie bardzo skromna, lecz wygodna i na ich potrzeby zupełnie wystarczająca.

— Ulokujemy się w niebrzydkim domku, który przed paru laty wybudować kazałem dla mojej matki, lecz ona upiera się i nie chce w nim mieszkać, Woli swoją skałę... bo rezydencya jej, to jeden olbrzymi odłam granitowej skały, podziurawionej mieszkaniami ludzkiemi, jak plaster miodu komórkami, ulepionemi z wosku przez pracowite pszczoły.

Długi gościniec, którym jechali, wśród nieustannych zboczeń i zakrętów. podnosił się ciągle w górę, a jednak Zofii zdawało się, że konie idą ciągle zbyt spiesznie. Odwracała się nieustannie, gdy skalisty wirch jakiś zasłaniał przed jej oczami morze, za którem zdawała się tęsknić. Ile razy powóz ze słonecznej jasności wjeżdżał w cień, mąż okrywał ją starannie kocami, twierdził bowiem, że jako urodzony w tych stronach, zna wybornie klimat kraju i wie, że nagłe przejście z upału do chłodu jest tu dla zdrowia niezmiernie szkodliwe.

Wtem, o jakie sto kroków nad sobą, ujrzała Zofia szczyt szary, skalisty, ukoronowany zwartą masą pożółkłych murów i dachów czerwonych. Dostęp do niego zdawał się niemożliwy, wysuwał się bowiem w niebo z gładko ściętej, niemal prostopadłej, olbrzymiej ściany, opartej na fundamencie, czyli raczej podstawie, również skalistej, u stóp której roztaczała się niezbyt rozległa, ale głęboka dolina.

Odgadła od razu, że wioska na wierzchołku skały, to Castillon. Zapytała więc męża:

— Czy stamtąd widać morze?

— Tak... gdy niema mgły.

Półtorej godziny jeszcze jechali ciągle w górę zygzakiem, zawracając to w prawo, to w lewo. Castillon znikało im kilkakrotnie z oczu za przeróżnemi, zakrywającemi je wyniosłościami i skalnymi garbami. Nareszcie, po przebyciu stromej pochyłości, ujrzała Zofia przed sobą górską osadę, podobną do starodawnej twierdzy saraceńskiej, usadowioną jakby okrakiem na wysokiej i dość długiej przełęczy, dominującej nad doliną Sospelu i Mentony.

Boczną, kamienistą ścieżką zbiegała ku nim pędem stara Rutkowska. Jednym susem wskoczyła na stopnie powozu i objąwszy ramionami szyję synowej, całowała ją czule, serdecznie. W uścisku tym zapomniała Zofia o doznanem świeżo przykrem wrażeniu. Serce jej, przed chwilą jeszcze, jakby zmrożone groźnym widokiem otaczającej ją przyrody i straszną obawą o najbliższą przyszłość, roztajało nagle w gorącem powitaniu, łączącem ściśle dusze dwóch istot, różniących się pod tylu względami... obcych sobie rasą, wychowaniem i pochodzeniem... a jednak tak szczerze sobie życzliwych.

— Ach! widzę — zawołała zdyszana i uszczęśliwiona świekra — że przeraża cię to moje sępie gniazdo, lecz, najdroższa, nie myślimy cię windować aż w górę... tu, tu już jesteś u siebie.

Po jednym jeszcze zakręcie powóz zatrzymał się przed wykwintnie wykutą kratą żelazną. Za nią ukazał się śliczny domek w stylu włoskim, otoczony gajem drzew cytrynowych i eukaliptusów. Na białych jego murach czepiały się gęste gałązki pnących się róż i cudnych kwitnących, południowych powoi, tak, że cały wydawał się olbrzymim bukietem.

Mama Rutkowska, dopomagając Zofii do wysiadania z powozu, szeptała jej do ucha:

— Jak to dobrze, jak poczciwie z twojej strony, że tu przyjechałaś!

VIII.

Dziecię innego.

Nazajutrz, przedzierające się przez szpary żaluzyi słońce, zbudziło Zofię bardzo wcześnie.

Wspaniała, pełna światła pogoda w przejrzyście czystem powietrzu, niosła ziemi radość promienną... Zofia uczuła się mniej smutną niż dnia poprzedniego. Narzuciwszy na siebie lekki szlafroczek, otworzyła oszklone drzwi sypialni i wyszedłszy na balkon, oparła się na jego kamiennej balustradzie, oddając się cała bezmyślnej, materyalnej roskoszy życia. Zachwycona, wpatrywała się w cudny krajobraz. Wczoraj wydawał się jej złowrogim i groźnym, dziś, wynurzające się z poza skał słońce, napełniało go wesołym, pełnym dziwnej słodyczy blaskiem. Głębia doliny tonęła jeszcze w prawie czarnym mroku, lecz wirchy i regle na zachodzie, wydawały się olśniewająco jasne, gdy na wschodzie, dotąd szare, wieńczyła jakby aureola tęczowa. Tam zaś, hen... hen przed nią rozścielała się ogromna przestrzeń błękitna, o ciemno turkusowem zabarwieniu. Było to morze Śródziemne, nadające całości widoku, urok niepospolitej siły i czar nieopisanego wdzięku.

Oczy Zofii zwróciły się następnie na starą osadę. Na popielatych niegdyś, teraz pożółkłych murach jej domów, mieniły się obecnie drgające światełka, przelatujące — zda się — jak jakieś złote motyle ze ściany na ścianę i rozpromieniające nagle, przed chwilą jeszcze zupełnie ciemne zakątki. I osada, chociaż ponura, nie przerażała jej tak, jak wczoraj; zwłaszcza, że banda bębnów, uganiających się za sobą i skaczących zwinnie ze skały na skałę, jak nasze tatrzańskie kozice, pochłonęła całą jej uwagę. Ona teraz, w którąkolwiek zwróciła się stronę, w każdem miejscu i w każdym kraju z lubością przyglądała się dzieciom, rojąc i marząc, że jej dziecko będzie najmilsze, najlepsze i najpiękniejsze... Nagle pomyślała:

— Muszę pójść odwiedzić panią Rutkowską!

Zaledwie ta myśl przez mózg jej przeleciała, spostrzegła swoją świekrę wychodzącą z Castillon i nakazującą jej wymownymi gestami — już z pewnej odległości — żeby cofnęła się z balkonu i wróciła do swego sypialnego pokoju.

Po chwili dzielna chłopka mówiła do synowej:

— Czy oszalałaś moja najmilsza!... W twoim stanie!.. Niema nic na świecie zdradliwszego i niebezpieczniejszego, jak nasze piękne poranki w zimie. Człowiekowi zdaje się, że mu ciepło, bo widzi słońce... tymczasem wcale długo czekać trzeba, aż powietrze całkiem się ogrzeje...

Całowała Zofię z właściwie sobie tkliwem wylaniem uczuć szczerych i prostych. Poczem spojrzała na łóżko:

— A mój syn, gdzie?

I po momentalnym namyśle dodała:

— Prawda! prawda!... jestem dotąd starem bydlątkiem, wyobrażającem sobie, że mąż powinien zawsze sypiać w pokoju żony... Co chcesz! ot głupie chłopskie pojęcie... musisz mi je przebaczyć... No, no, siądźmy tu sobie razem... i powiedz mi, czy to wszystko ci się podoba?

Rozwinęła spory tobołek i wysypywać zeń zaczęła całą garderobę przyszłego swego wnuka, wykonaną własnemi rękami.

— Nie chodzi mi o chłopaka, rozumiesz — rzekła dobrodusznie. — Wszystko mi jedno: chłopiec, czy dziewczyna, bo tak jedno jak drugie kochać będę bardzo... bardzo!...

Uczucie bolesnego wstydu owładnęło sercem Zofii wobec tej kobiety prostej, a tak zacnej i uczciwej, którą ona oszukiwać musi i prawdopodobnie oszukiwać będzie całe życie. Podziwiała jej wyroby.

— Wiem — mówiła Rutkowska — że możecie mieć cudowną wyprawkę, kupioną w Warszawie lub w Paryżu, lecz wielkomiejskie konfekcye, wykonywane fabrycznie, nie posiadają takiej trwałości, jak robota ręczna... Przyjrzej-no się tylko tym pończoszkom, zrobionym na drutach...

Zofia zachwycała się ze łzami w oczach, wzruszona do głębi dobrocią staruszki.

Postanowiła zaraz zrana udać się do Castillon, aby jej złożyć pierwszą wizytę, pomimo, że mąż sprzeciwiał się temu, bo lękał się, aby Zofia, nieprzyzwyczajona do ścieżek górskich, nie potknęła się gdzie i nie upadła. I świekra protestowała niby przeciw pieszej wycieczce po wczorajszej męczącej podróży, lecz w głębi duszy cieszyła się niewymownie dowodem życzliwości synowej i śmiała się z obawy Korfa. Wszakże sama przerwała zwykłą ciężką swoją pracę na osiem dni tylko przed przyjściem syna na świat. Urodził się on w czasie zbioru oliwek, jak dziecko Zosi, które prawdopodobnie urodzi się właśnie o tej samej porze. Wypowiedziawszy to wszystko, dodała po namyśle:

— Zresztą nie trzeba w niczem sprzeciwiać się jej woli, bo ona przecież jest tu jedyną panią i królową!

Wyszli z willi we troje, krocząc pod górę ostrożnie i powoli. Mama Rutkowska niosła prawie Zofię, opierającą się na jej ramieniu. Korf zaś usuwał z pod jej stóp kamyki, któremi ścieżka była przepełniona. Gdy przybyli na platformę, z której roztaczał się widok na obie doliny, Zofia zmęczona nieco musiała się zatrzymać i usiąść na murku, otaczającym wokoło płaskowzgórze. Wtedy świekra przyjrzała się jej pilnie. Poczem odprowadziła syna na bok i szepnęła mu do ucha:

— Wszakże to, co ma nastąpić, nastąpi już wkrótce?

— Tak matko.

— Czy zamówiłeś jakiego dobrego lekarza?

— Ma się rozumieć! Zamówiłem jednego z najznakomitszych lekarzy warszawskich, do którego Zosia ma zaufanie, a który przyjedzie tu za dni parę.

— O! przed lutym nie będzie potrzebny!

Twarz Korfa oblał gorący rumieniec.

— Przepraszam mateczko... spodziewam się rozwiązania nieco wcześniej...

— Co? co?

Rutkowska rzuciła na synowę ukośne spojrzenie.

— Co ty pleciesz?

W myśli zestawiała znane daty. Poczem rzekła głośno:

— Wszakże wziąłeś ślub pierwszego czerwca?

— Mniejsza oto mateczko! Powiadam ci, że dziecko nasze przyjdzie na świat w końcu stycznia.

— Zatem panna Wielohradzka, hrabianka i córka arystokratycznych rodziców, pokochała cię przed ślubem?... Słuchaj Rutkowski!...

Rutkowskim zwała niegdyś męża, więc teraz, to samo rodzinne miano dawała synowi.

— Słuchaj Rutkowski! jest w tem wszystkiem coś, co ukrywasz przedemną... W przypuszczeniu, które wypowiedziałam przed chwilą, niema sensu! Ta dziewczyna pokochała cię dopiero wtedy, gdyście stawali przed ołtarzem, a nieraz potem widziałam, że z twojej przyczyny zalewała się łzami... bo tylko jeden, a nie kto inny, mógł ją doprowadzić do płaczu...

Staruszka przeczuwała tajemnicę i z właściwą sobie chłopską popędliwością chciała ją wyjaśnić natychmiast, lecz syn nakazał jej milczenie.

— No, no! dość tego! — szepnął gniewnie. — Jeśli nawet mam ci co powiedzieć, to bądź pewna, że nie powiem w tej chwili.

To mówiąc opuścił matkę, mocno zdziwioną, i zbliżył się do Zofii, spoglądającej na niego wzrokiem, pełnym obawy. Szepnęła więc doń nieśmiało:

— Niech matka pańska nie dowie się o niczem!

Zrozumiała, że świekra wątpić zaczyna i była tem strasznie upokorzoną.

— Idę przodem — rzekła stara głucho brzmiącym głosem. Chcę zobaczyć, czy w moim domu, który opuściłam dziś wcześnie, panuje porządek.

W rzeczy samej pragnęła przedewszystkiem zyskać na czasie, aby opanować niepokój, ściskający jej serce i usunąć z twarzy odbicie wrażeń, które czuła, że muszą malować się na niej zbyt widocznie. Czem było to małżeństwo? — myślała. Dlaczego on sprowadził Zofię do jednego z najustronniejszych i najdzikszych zakątków na ziemi, w chwili właśnie, gdy żona jego ma zostać matką?... Niezawodnie, dopóki nie miała żadnej wątpliwości, cieszyła się przyjazdem Zofii niewymownie, lecz obecnie całe postępowanie barona wydało się jej niezmiernie dwuznacznem... Musi istnieć jakaś tajemnica pomiędzy jej synem a synową! Lecz jaka?... Nagle chłopska i południowa krew zawrzała w jej żyłach. „Wielkie panie z miast jakże często bywają nędznicami!...“ Gdy jednak odwróciła się i spostrzegła Zofię, opierającą się na ramieniu Korfa, zdało się staruszce, że miłość czyta w jej wzroku.

— Biedne stworzenie! — mruczała po cichu. Taka miła! taka łagodna!... Jeśli jedno z nich zawiniło, to pewno nie ona!

I weszła do swego domu, owładnięta myślą jedyną: że młoda, piękna kobieta, podążająca za nią, ma zostać matką dziecięcia, które będzie jej wnukiem.

W kilka minut potem Zofia z mężem przestąpiła próg mieszkania Rutkowskiej. Była to jedna z owych komórek, z których składał się ul, zwany osadą Castillon... Zapełniały ją izby ciemne, niskie, podobne do kazamat fortecznych. Słońce nie rozświetlało ich nigdy prawie.

— Syn mój zowie mój dom pieczarą — rzekła Rutkowska — ale tu się urodziłam i tu umrzeć pragnę... A! przyglądasz się portretowi?

Istotnie Zofia patrzyła na wizerunek, malowany lichym pędzlem, a przedstawiający mężczyznę w średnim wieku, niezmiernie podobnego do jej męża. Był to typ chodaczkowego szlachcica, spotykany u nas w Polsce dość często na Podlasiu, we wsiach kolokacyjnych, tylko mundur niebieski z czerwonym kołnierzem świadczył, że musiał służyć w wojsku francuskim.

— To mój ojciec — rzekł Korf bez fałszywego wstydu.

Zofii zdało się, że jakiś rudy płomień błysnął nagle w oczach świekry i że twarz jej, zwrócona ku synowi, zapałała strasznym gniewem.

Po wizycie, nie trwającej dłużej nad pół godziny, Korf odprowadził żonę do willi i zakłopotany nieco, rzekł do niej:

— Unikaj rozmowy z matką o moim ojcu, zwłaszcza w mojej obecności.

Poczem dodał po chwili:

— Byłem dla niego złym synem.

Od tego czasu ciężki smutek owładnął Zofią. Zaczęła się obawiać rodziny, z którą los połączył ją na całe życie, a w łonie której rozegrać się musiał niegdyś jakiś groźny dramat, może równie straszliwy, jak ów, którego była świadkiem w Sielance. Lękała się więc teraz niedawno jeszcze szczerze lubianej staruszki, mniemała bowiem, że czyta w jej chmurnym wzroku podejrzenie nieustanne; lękała się męża, który tak zręcznie oddalił ją od jej zwykłego towarzyskiego otoczenia, wywożąc zagranicę, a który prawdopodobnie nie umie już w niej uszanować kobiety, chociaż oględnie i ostrożnie obchodzi się z przyszłą matką dziecięcia, nosić mającego jego nazwisko, bo chce utrzymać ją przy życiu. aby nie stracić spólnika, który otworzy przed nim podwoje arystokratycznych salonów Paryża, jak otworzył je już w Warszawie.

W kilka dni po wypadkach wyżej opisanych, przybyła do Castillon akuszerka, przysłana przez dra Michała Marczaka. W tydzień po niej przyjechał doktór i przywiózł z sobą mamkę — zdrową, dzielną, rumianą wieśniaczkę z Kaliskiego. Widok tej kobiety sprawił Zofii przykrość, sądziła



— To mój ojciec — rzekł Korf bez fałszywego wstydu.

bowiem, że sama karmić będzie swoje dziecko, a chociaż nie zdawała sobie z tego należytej sprawy, przypuszczała, że karmienie na dłuższy czas oddali od niej męża. Lecz lekarz, w tonie jak zwykle żartobliwym, oświadczył, że pani baronowa, jakkolwiek wygląda i pięknie i zdrowo, niema potrzebnych na mamkę kwalifikacyj.

— Jestem przecie bardzo silna! — zawołała oburzona.

— Nie samej tylko siły tu potrzeba — odparł Marczak.

Rada nierada uledz musiała. Czy oddawna nie ulegała we wszystkiem niezłomnej woli męża i naciskowi okoliczności, pozbawiających ją wszelkiej swobody i krępujących nieustannie?

Pomimo chwilowego nieporozumienia z doktorem, całą jej pociechą jednakże było obecnie jego towarzystwo. Prowadziła z nim interesujące rozmowy o kraju, oraz o sprawach ludzkich i narodowych, które tam nad Wisłą, po długiem, bezmyślnem uśpieniu nieszczęśliwego społeczeństwa, kiełkować zaczynały w umysłach i rozgrzewać szlachetne serca. Polubili się wzajemnie bardzo, on bowiem odkrywał w niej przymioty, rzadko kiedy posiadane przez kobiety, należące do jej sfery; ona zaś, dlatego może głównie, że był przyjacielem Zygmunta. Z początku łudziła się nawet nadzieją, że przez niego dowie się, co się dzieje z ukochanym. Starała się go więc wyciągnąć na opowiadania o chorych, których leczył w ostatniem półroczu, wszelkie jednak tego rodzaju usiłowania nie odniosły pożądanego skutku, bo Marczak, umiejący uszanować sekret profesyonalny, zdawał jej tylko relacyę z rzeczy ogólnych, albo powszechnie znanych, widocznie zaś rany i choroba Zygmunta należały do takich, na których musi spoczać pieczęć tajemnicy. Liczyła już zatem tylko na przypadek, mogący wywołać imię lubego na usta lekarza, lecz i przypadek nie spełnił jej życzeń.

Zresztą Korf nie opuszczał żony ani na chwilę, gdy Marczak z nią rozmawiał.

* * *

W ciepły, jasny, pogodny dzień styczniowy przyszło na świat dziecię Zofii.

— Panienka! — wesoło zaanonsował doktór Marczak.

— Moja córka! — szepnęła młoda kobieta uszczęśliwiona, już zapominająca przebyte cierpienia. — Córka! Dzięki ci Boże! Wszakże to towarzyszka i przyjaciółka, z którą matka spędza znaczną część życia!

Rutkowska zapracowanemi rękami pochwyciła niemowlę i delikatnie złożyła je na swych skrzyżowanych, żylastych ramionach, mówiąc z widocznem wzruszeniem:

— Wszakże ten śliczny skarb i do mnie należy potrosze!

Zofia tymczasem przymknęła powieki i utonęła w błogiem marzeniu. Zdało się jej, że widzi nad sobą melancholijne oblicze Zygmunta, że usta jego otwierają się nieznacznie, aby wypowiedzieć słowa pociechy i przebaczenia, bo on rozumie, że bardzo ważne, nieubłagane i bezlitosne powody skłoniły ją do opuszczenia umiłowanego, do wyrzeczenia się go na zawsze... Z fatalnością i przeznaczeniem nikt walczyć nie jest w stanie! Wtem uczuła nad skronią gorące tchnienie... Otworzyła oczy przerażona i drżąca. Mąż całował ją w czoło przeciągle.

— Przebacz mi — mówił ledwie dosłyszeć się dającym głosem — lecz muszę przecie podziękować ci za obdarzenie mnie cudnem dziecięciem...

Poczem ucałował także kwilącą dziewczynkę, a wzrok jego, zwrócony na Zofię, zdawał się mówić:

— Widzisz! biorę ją w posiadanie.

W trzy dni potem, gdy dr. Michał Marczak oświadczył stanowczo, że w stanie zdrowia baronowej nie grożą już żadne niebezpieczne komplikacye, Korf zgodził się na jego wyjazd. Żegnając się z nim, mówił:

— Z głębi duszy dziękuję ci doktorze za opuszczenie swoich pacyentów i swoich zajęć dla mojej żony.

— No, no! — odparł Marczak z właściwą sobie szorstką szczerością, przyznaję się panu, że przyjechałem tu tylko dlatego, że mi przyrzekłeś sute honoraryum. Jestem jeszcze nie stary i chciwy wiedzy, a moi chorzy są dla mnie poniekąd przeszkodą do badań i studyów, mogących mnie doprowadzić do bardzo cennych odkryć naukowych. Dzięki panu przerobię i urządzę odpowiednio do prac przedsięwziętych moje laboratoryum chemiczne. Więc i ja jestem panu wdzięczny... zwłaszcza, że poznawszy obecnie baronową bliżej, przekonałem się, że masz panie baronie żonę, godną czci najgłębszej. Nie wiele takich spotkać można w Warszawie.

— Pewny jestem, że mogę liczyć na bezwzględną dyskrecyę pańską!

— Niema nawet o czem mówić! Dałem słowo, a słowu memu nie sprzeniewierzam się nigdy — rzekł Marczak, ściskając Korfa dłonie.

— Lecz akuszerka, którą nam pozostawiasz?

— Ręczę za nią, jak za siebie. Przy mojej pomocy nieźle sobie żyje, więc robi i mówi to tylko, co jej każę.

W kilka dni potem i akuszerka opuściła Castillon, a Zofia — nie bez lęku — pozostała sama z mężem.

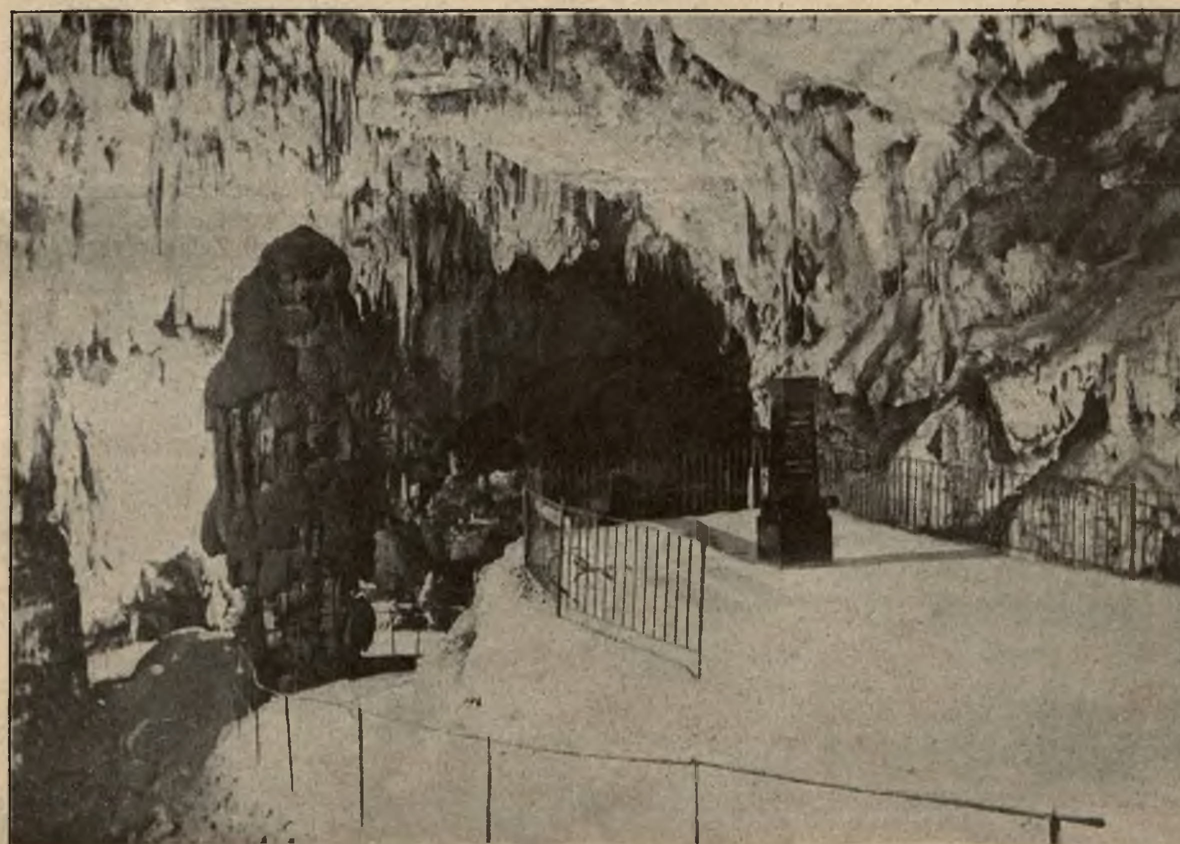
(Ciąg dalszy nastąpi)

Kongres dziennikarzy słowiańskich w Lublanie.

W stolicy kraju Słoweńców, w „białej Lublanie", obradował w dniach 8 i 9 września VIII kongres dziennikarzy słowiańskich, urządzony w dziesiątą rocznicę pierwszego takie zjazdu, odbytego w Pradze w 1898 r.



Odznaczenie ministra Korytowskiego:
J. Eksc. dr. Witold Mora Korytowski.



Kongres dziennikarzy słowiańskich w Lublanie: Wnętrze groty postojańskiej.

Zjazdy dziennikarzy słowiańskich w Austryi mają już nietylko swoją historyę, ale także swój poważny dorobek. Inicyatorami ich są Czesi, którzy pierwsi urządzili taki zjazd u siebie, a następnie powołali do życia instytucyę, która zajęła się stałem urządzaniem takich zjazdów i przygotowywaniem dla nich programu. Instytucyą taką jest „Związek słowiańskich dziennikarzy", mający swą siedzibę w Pradze, ale jednoczący przedstawicieli wszystkich stowarzyszeń dziennikarskich słowiańskich. Prezesem Związku jest Michał Chyliński z Krakowa, b. redaktor *Czasu*, wiceprezesem Józef Holleczek, redaktor *Narodnich listów* z Pragi, sekretarzem Józef Vejwara. W wydziale Związku zasiadają przedstawiciele wszystkich słowiańskich stowarzyszeń dziennikarskich — z grona Polaków zaś pp. Ostaszewski-Barański i Laskownicki ze Lwowa, Prokesch z Krakowa i Smólski z Wiednia.

Tegoroczny Zjazd w Lublanie rozmiarami i znaczeniem politycznem przewyższył wszystkie poprzednie. Podczas gdy na wszystkich poprzednich idea braterstwa i wzajemności słowiańskiej obracała się w błędnem kole gołosłownych wynurzeń i zapewnień w tym roku zjazd zeszedł na pole polityki czynnej. Uchwały konferencyi w Pradze i znamienne jej rezolucye w sprawie polsko-rosyjskiego porozumienia rozdarły nareszcie przedział, jaki panował między Polakami a resztą narodów słowiańskich.

Ogółem wzięło w zjeździe lublańskim udział 1500 uczestników, ze wszystkich ziem słowańskich. Z pośród polityków wzięli w nim udział Rosyanie: hr. Bobriński, poseł do III Dumy, gen. Wołodimirow, Stachowicz i Milukow, Polacy dr. Adam Doboszyński, A. Chamiec z Warszawy, red. Ostaszewski-Barański, Prokesch, Laskownicki, Zabawski, z Rusinów posłowie: dr. Hlibowicki, ks. Dawydiak, Markow i Szczawiński, z Czechów dr. Hajn, dr. Czerny, Klofacz i w. i.

Obrady odbyły się pod batutą wybranego na prezesa kongresu red. Holleczka z Pragi, w pięknej sali „Mestnego Domu". Obfity porządek dzienny obejmował cały szereg spraw aktualnych, dotyczących zawodowych kwestyj słowiańskiego dziennikarstwa, wszyscy czuli jednak, że właściwym celem kongresu jest posunięcie o krok naprzód i san-



Kongres dziennikarzy słowiańskich w Lublanie: Grupa uczestników zjazdu w sali posiedzeń kongresu w »Mestnim Domu«. W pierwszym rzędzie prezes kongresu redaktor Holleczek z obu wiceprezesami, na lewo obok Holleczka gen. Wołodimirow.

kcyonowanie uchwałą kongresu, rezolucyj przyjętych na konferencyi w Pradze.

I stała się rzecz przez Polaków nie oczekiwana. Prezes kongresu red. Holleczek, znany nam dawniej ze swych gorących sympatyj dla Rosyan, referat swój „O dziesięcioleciu zjazdu dziennikarstwa słowiańskiego" zaznaczył ustępem, w którym wyraził życzenie, aby zjazd dziennikarzy słowiańskich uznał postulat autonomii Królestwa Polskiego i szkolnictwa narodowego polskiego w Królestwie Polskiem.

Postulat ten uchwalono jednomyślnie a w toku rozpraw na kongresie i przy sposobności przemówień toastowych, kwestya zainaugurowanego w Pradze porozumienia polsko-rosyjskiego przewijała się akcentowana gorąco przez przedstawiciela rosyjskiego p. Stachowicza, któremu sekundował hr. Bobriński. Narady nad założeniem wszechsłowiańskiego organu prasowego w czterech językach słowiańskich, nad reformą ustawy prasowej, nad słowiańskiem biurem korespondencyjnem, dopełniły prac kongresu, zakończone jak zwykle teoretycznemi uchwałami. Na wniosek red. Ostaszewskiego-Barańskiego ze Lwowa kongres przesłał życzenia Tołstojowi z powodu 80-lecia jego urodzin.

Przygotowana przez komitet miejscowy towarzyska część zjazdu dała chlubne świadectwo gościnności Słoweńców. Przez cztery dni z rzędu miasto i kraj podejmowały uczestników zjazdu dziennikarskiego z prawdziwie słowiańską gościnnością. Bankiety następowały jedne po drugich — a na nich wygłaszano mowy płomienne nastrojem wszechsłowiańskiego braterstwa.

Czwartego dnia komitet urządził dwie wielkie wycieczki dla uczestników kongresu. Jedną do uroczego Bledz (Veldes) i jezior Wochińskich, drugą do światowej sławy grot w Postojnej (Adelsbergu).

Stamtąd podążyli członkowie kongresu na wspólną wycieczkę do Tryestu, gdzie miejscowa kolonia słoweńska urządziła na cześć gości słowiańskich wielki komers w „Narodnym domu", oraz bankiet. Obie wycieczki wzmiankowane, urządzone były przez kraiński „Związek turystyczny", który nie omieszkał wyzyskać sposobności pobytu gości słowiańskich, aby im okazać czary przyrody ojczystego kraju i zachęcić do zwiedzania wspaniałych Karawanków i uroczych miejscowości u stóp ich rozsianych. *W.*

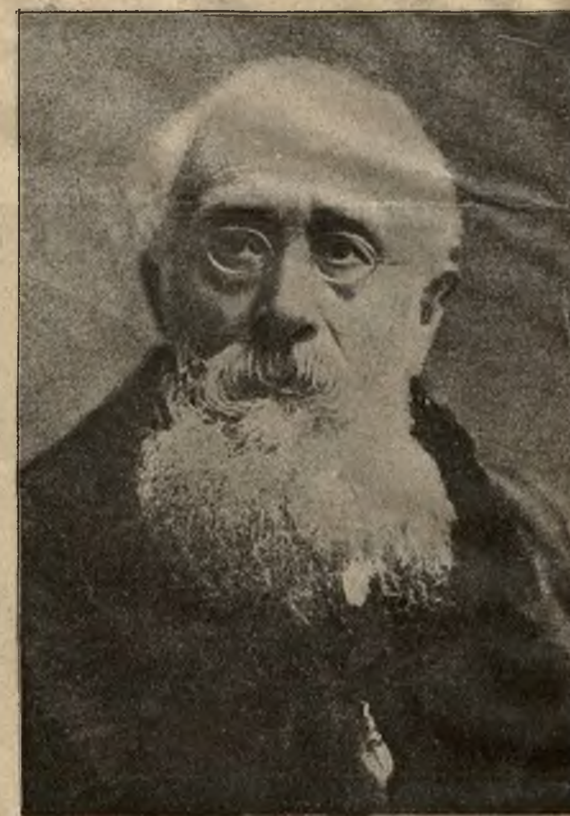


Kongres dziennikarzy słowiańskich w Lublanie: Stalaktyty i stalagmity w grocie postojańskiej.

Odznaczenie ministra Korytowskiego.

Senat uniwersytetu krakowskiego, aby odwdzięczyć się ministrowi skarbu Korytowskiemu za usilne poparcie, którego ta nasza najwyższa instytucya naukowa tak potrzebowała, zamianował go honorowym doktorem filozofii, a cesarz uchwałę tę zatwierdził. Staraniom pana ministra i nieodżałowanej pamięci ś. p. namiestnika hr. Potockiego ma Alma mater Jagellonica do zawdzięczenia będącą w toku budowę gmachu dla studyum rolniczego, kosztem 800.000 koron, niebawem zaś rozpocznie się budowa nowego zakładu fizycznego i kliniki psychiatrycznej. Nadto zakupiono dla studyum rolniczego folwark doświadczalny w Mydlnikach kosztem około pół miliona koron, a i w innych wypadkach nie skąpi dr. Korytowski porady i wybitnej pomocy. Rozumna gospodarka ministra skarbu Polaka, ucznia ś. p. „ojca budżetu" austryackiego ś. p. Dunajewskiego, znalazła na wszystko fundusze, oceniając wysokie kulturalne i narodowe znaczenie krakowskiej szkoły.

To też uniwersytet za tak wydatne popieranie swych celów i dążności zapragnął się odwdzięczyć i obdarzył dra Korytowskiego najwyższą godnością,



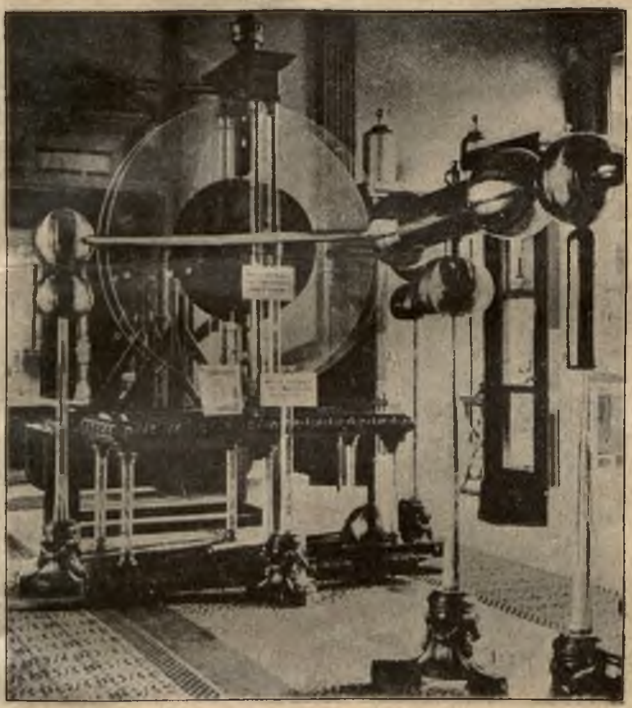
Zgon zacnego przyjaciela Polaków: Senator Tankredo Canonico.



Kongres dziennikarzy słowiańskich w Lublanie: Grupa uczestników zjazdu w ogrodzie hotelu »Illyria« przed bankietem.

jaką instytucya naukowa może rozporządzać, t. j. honorowym doktoratem filozofii, gdyż doktorat prawa minister już posiada.

Z gorącem uznaniem przyjąć należy wspomniane odznaczenie ministra Korytowskiego; będzie ono dla niego bodźcem do tem chętniejszego uwzględniania postulatów krajowych, o których zaspokojenie nieraz próżno się kołata, a które teraz mają



Kongres elektrologów w Amsterdamie: Najstarsze kondensatory Marume'a, przechowane w muzeum Taglowa pod Amsterdamem.

wymownego i chętnego poplecznika w Radzie koronnej. W rzędzie dobrodziejów krakowskiej wszechnicy godne miejsce zajął uczeń Korytowski obok swego mistrza ś. p. Dunajewskiego.

Ale nietylko uniwersytet wdzięcznie zapisał nazwisko Korytowskiego w swych rocznikach; także cały Kraków musi go mile wspominać, gdyż nie trzeba zapominać, że właśnie dr. Korytowski postarał się o wynalezienie funduszów na zabezpieczenie przed powodzią Krakowa i Podgórza.

Osobna deputacya profesorów wszechnicy uda się do Wiednia, aby ministrowi rodakowi wręczyć dyplom doktorski.

Zgon zacnego przyjaciela Polaków.

Telegramy doniosły, że w Sertenno koło Sienny zmarł znany przyjaciel Polaków, były prezydent senatu włoskiego, Tankredo Canonico, przeżywszy lat 70. Zmarły był długi czas prezydentem włoskiego senatu, a przez cały przeciąg swego urzędowania dał się poznać jako człowiek prawdziwie męskiego hartu ducha i nieposzlakowanych zasad. Nazwisko jego stało się głośnem w ubiegłym roku, gdy jako prezydent senatu przewodniczył rozprawom sądowym, rozpatrującym przewinienia ministra defraudanta Nassiego. W owym czasie cieszono się w całych Włoszech, że charakter Canonica daje gwarancyę, iż zbrodniarz poniesie zasłużoną karę. Jeśli nie stało się tak w zupełności, jak opinia publiczna się spodziewała, to nie wina prezydenta senatu, który osobiście potępiał defraudanta, ale stosunków politycznych i konieczności liczenia się z Sycylią, która Nassiego zaczęła uważać za pewien rodzaj bohatera narodowego, aby tylko rządowi włoskiemu sprawić nową trudność.

Canonico był uczniem i wychowankiem Andrzeja Towiańskiego, który w swoim czasie taki wpływ wywierał na współczesne osobistości, że po prostu nikt mu się oprzeć nie potrafił, jak to mieliśmy dowód na Adamie Mickiewiczu. Ale też wpływ polskiego myśliciela nie był dla Canonica bez skutków; w młody umysł wszczepił on zdrowe ziarna miłości bliźniego i czynienia innym dobrze, zasady, którym Canonico pozostał wiernym do śmierci, a które otoczyły jego nazwisko aureolą i zjednały mu powszechny szacunek ziomków. Dla swego mistrza żywił on głęboką wdzięczność i nietylko żył według jego wskazówek, ale nadto spisał je, wydając kilka cennych prac, rzucających właściwe światło na postać Towiańskiego. Canonico był zawsze zdeklarowanym przyjacielem Polaków i ile razy nadarzyła się sposobność, występował zawsze w ich obronie, a sposobności nie brakło, gdyż w życiu politycznem brał udział z górą pół wieku i dopiero w ostatnich czasach ciężka choroba zmusiła go do usunięcia się w zacisze domowe, gdzie też w ubiegłym tygodniu dokonał zasłużonego żywota.

Cześć pamięci zacnego męża!



Kongres elektrologów w Amsterdamie Najnowszy kondensator, pomysłu Dra Zanietowskiego z Krakowa.

Kongres elektrologów w Amsterdamie.

Od lat kilkunastu zbierają się w pewnych odstępach czasu uczeni, zajmujący się zastosowaniem elektryczności do celów leczniczych, aby wzajemnie poinformować się o postępach tej nauki i własnych pracach i spostrzeżeniach, a zdobycze, zgodnem stwierdzone uznaniem w formie uchwał niejako sankcyonować, a potem rozpowszechnić. Pierwszy taki międzynarodowy kongres: „Elektrologii i radiologii lekarskiej“ odbył się w Paryżu, drugi w Bernie szwajcarskiem, trzeci w Medyolanie. Obecnie zakończył swe obrady czwarty kongres w Amsterdamie, a należał o tyle do najświetniejszych, iż wzięło w nim udział do dwustu członków, przeważnie Francuzów, Anglików, Holendrów, Amerykanów i Włochów, którzy wygłosili około 80 odczytów i przedstawili sto kilkanaście przyrządów i dwieście kilka zdjęć promieniami Röntgena. Wedle uchwały centralnego komitetu wygłosił na inauguracyjnem posiedzeniu elektrologicznem referat rodak nasz, dr. Zanietowski z Krakowa, który dał się już chlubnie poznać w kraju i zagranicą ze swych prac naukowych na tem polu. Treścią referatu był obecny stan elektrologii lekarskiej ze szczególnem uwzględnieniem tak zwanej „metody kondensatorów“ i prac własnych nad tą metodą. Kongres przyjął z uznaniem dedykowany mu przez naszego rodaka zbiór prac własnych i podręcznik Elektrologii, polecając zarazem przyrządy jego pomysłu do ogólnego użytku teoretyków i praktyków. Dra Zanietowskiego wybrano jednogłośnie członkiem międzynarodowej komisyi: *de l'unification des méthodes en électromédicine.*

Ostatnie posiedzenie poświęcono zwiedzeniu olbrzymich kondensatorów Marume'a, przechowywanych od $1\frac{1}{2}$ wieku w muzeum Haarlemskiem pod Amsterdamem.

Ryciny nasze przedstawiają właśnie owe najstarsze kondensatory Marume'a, o olbrzymiej powierzchni 12 m^2, ładowane zapomocą obrotu szyby o powierzchni 50 m^2. Nadto podajemy demonstrowany przez naszego rodaka najnowszy, przenośny przyrząd jego pomysłu, stosowany już do rozpoznawania i leczenia chorób, oraz widok starożytnej bramy uniwersytetu, w którym kongres miał swe posiedzenia. Zdjęć dopełnia portret naszego uczonego rodaka, dr. Zanietowskiego, jedynego Polaka, który brał udział w zjeździe.

Z balonowych historyj.

Hrabia Zeppelin skazany na przymusową bezczynność, dopóki nie zbudują mu nowego balonu, spoczął na laurach, a tymczasem bracia Wright



Z balonowych historyj: Major Gross (X) i kapitan Neumann (XX) z pruskiego aeronautycznego oddziału.

zaczęli święcić tryumfy. Wojskowe koła niemieckie nie przestały też pracować nad ulepszeniem balonów ze sterem, aby się zrehabilitować w oczach świata. Powodzenie amerykańskich aeronautów było solą w oku niemieckim, a gdy jeszcze telegraf rozniósł wieść, że pod Grünewaldem balon Parsevala rozbił się i spoczywa w ogrodzie jakiejś willi, zdawało się, że aeronautyka pruska poniosła już zupełną klęskę.

Tymczasem za jednym podmuchem wiatru wszystko się zmieniło. Aeroplan Orville'a Wrighta uległ katastrofie, przyczem sam wynalazca odniósł poważne uszkodzenia cielesne, z których będzie się musiał leczyć przez sześć miesięcy conajmniej a za to niemiecka powietrzna łódź motorowa, kierowana przez majora Grossa, zaczęła święcić tryumfy. Balon Grossa utrzymał się w powietrzu przez trzynaście godzin, a odbył w tym czasie drogę trzy-



Kongres elektrologów w Amsterdamie: Stara brama uniwersytetu amsterdamskiego, w którym kongres odbywał obrady.

nastu kilometrów, wznocząc się czasami aż do 1300 m. Szybował więc w przestworzach o dwie godziny dłużej, niż ostatni rekord Zeppelina. Balon majora Grossa miał w czasie podróży do walczenia z licznemi przeciwnościami, a głównie niepo-



Nagły zgon posła: Śp. poseł Antoni Pawluszkiewicz.

myślnym wiatrem, który miejscami wiał z chyżością jedynastu metrów na sekundę. Mimo to podróż odbyła się bez żadnego wypadku, przez co stwierdzono, że i niesztywne balony do sterowania mogą znaleść praktyczne zastosowanie do celów wojskowych.

Koronacya cudownego obrazu w Krakowie.

W pięknie odnowionym kościele OO. Franciszkanów w Krakowie odbyła się w niedzielę, dnia 20 września, wspaniała uroczystość koronacyi cudownego obrazu Matki Boskiej Bolesnej, zwanej niegdyś w starożytnym Krakowie: „Smętną Dobrodziejką“. Na uroczystość zjechali się wszyscy rzymsko-katoliccy arcybiskupi i biskupi galicyjscy, oraz arcybiskup ormiański ze Lwowa, mnóstwo duchowieństwa prowincyonalnego oraz kilkudziesięciotysięczny tłum pobożnych, przeważnie ze Śląska. Uroczyste nabożeństwa, poprzedzające koronacyę, rozpoczęły się już we czwartek; codziennie inny z biskupów celebrował sumę i wygłaszał kazanie. Sam akt koronacyjny, którego dopełnił J. Em. ks. kardynał Puzyna, odbył się w niedzielę przed południem, poczem uroczystą sumę koronacyjną odprawił pod gołem niebem ks. arcybiskup Bilczewski ze Lwowa, a kazanie wygłosił ks. biskup Pelczar z Przemyśla. Tysiące głów zapełniło obszerny plac Wszystkich Świętych, wystąpiły wszystkie bractwa i cechy z insygniami, ruch kołowy na całej przestrzeni musiał uledz przerwie. Po południu po nieszporach wyruszyła procesya z ukoronowanym obrazem na Rynek krakowski. Prowadził ją ks. kard. Puzyna w otoczeniu całego episkopatu i setek duchowieństwa świeckiego i zakonnego, oraz dziesiątek tysięcy wiernych. Po procesyi wygłosił przed kościołem ostatnie kazanie złotousty kaznodzieja, ks. biskup Bandurski ze Lwowa. Przebieg uroczystości był nadzwyczaj podniosły i w sercach obecnych pozostawił niezatarte wrażenie.

Koronowany obraz, dzieło, jak przypuszczają znawcy sztuki, krakowskiego cechowego malarstwa, pochodzi prawdopodobnie z początku piętnastego stulecia, a malowany jest na drzewie. Korona sporządzona w pracowni p. Seipa w Krakowie z szczerego złota, waży kilogram, a wysadzana jest drogimi kamieniami przez krakowskiego jubilera p. Wojciechowskiego. Po uroczystościach koronacyjnych umieszczono obraz w kaplicy gotyckiej, przybudowanej do kościoła od strony południowej, a odnowionej w r. 1897 staraniem śp. radcy H. Hankiewicza. Z kaplicą tą łączy się prześliczna tradycya. Bractwo Męki Pańskiej, istniejące przy kościele Franciszkanów od r. 1595, miało przywilej nadany przez królów polskich, mocą którego mogło co roku na Wielkanoc wyprosić od śmierci



Kongres elektrologów w Amsterdamie: Dr. Józef Zanietowski.

kilku skazańców. Uwalniano ich dopiero po dziękczynieniu, jakie składali w tej kaplicy przed obrazem „Smętnej Dobrodziejki“, dokąd sprowadzano ich w uroczystej procesyi z ratusza. Ostatnia taka uroczystość odbyła się w czasie pierwszego zajęcia Krakowa przez Austryaków.



Koronacya cudownego obrazu w Krakowie: Kazanie ks. biskupa Pelczara w czasie uroczystości. Aparatem redakcyjnym W. Lis.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA

9 przez Maurycego Leblanc.

— I zabrać go w taki sposób — pochwycił, wpadając w ton hrabiego, Floriani — że mu to najmniejszej nie spowodowało nieprzyjemności, że nikomu nawet na myśl nie przyszło sprawdzić stan szyb, albo przekonać się, że listwa u okna jest nazbyt czysta, że przeto musiała być starannie oczyszczona, jeśli nie pozostało na niej grubej warstwy kurzu... Przyznaj pan, że było od czego zawrócić się główinie takiego malca. Zatem to tak łatwo? Dosyć tylko chcieć i wyciągnąć rękę?... Słowo daję musiał zechcieć...

— I wyciągnął rękę.

— Obie ręce — zaśmiał się Floriani.

Dreszcz przeszedł obecnych. Cóż za tajemnica leżała w życiu tego człowieka? I jak niezwykłem musi być takie życie awanturnika, w sześciu latach genialnego złodzieja, który dzisiaj z wyrafinowaniem namiętnego poszukiwacza wzruszeń, lub jedynie dla zadowolenia uczucia zemsty, przyszedł naigrawać się ze swej ofiary, dotarł aż do niej samej, zuchwale, szalenie, a uczynił to z całą wytwornością światowego człowieka, składającego zwykłą wizytę!

Powstał z krzesła i zbliżył się do hrabiny, aby ją pożegnać. Powstrzymała mimowolny gest cofnięcia się. Uśmiechnął się.

— Och, pani się boi! Czyżbym zadaleko posunął małą komedyjkę czarodzieja salonu?

Opanowała się i nieco drwiąco, z podobną jemu niedbałością, odrzekła:

— Bynajmniej panie. Przeciwnie, ta legenda o dobrym synu bardzo mię zajęła i jestem szczęśliwa, że mój naszyjnik posłużył do rozpoczęcia tak świetnej karyery. Lecz czy nie sądzisz pan, że syn tej... kobiety, tej Henryki, poszedł przedewszystkiem za swojem powołaniem?

Poczuł ukłucie, drgnął, lecz wnet odpowiedział:

— Jestem tego pewny; powołanie nawet musiało być bardzo poważnem, jeśli dziecko nie cofnęło się odrazu.

— Jakto?

— Zapewne; wszak pani wie, że większość kamieni była fałszywą. Zaledwo parę brylantów wykupionych od angielskiego jubilera było prawdziwych, reszta została wysprzedana, jeden po drugim, w biegu potrzeb niezbędnych życia.

— W każdym razie mój panie był to zawsze Naszyjnik królowej — odparła hrabina wyniośle — i oto, zdaje mi się, czego nie mógł zrozumieć syn Henryki.

— Musiał rozumieć łaskawa pani, że naszyjnik, prawdziwy czy podrabiany, jest przedewszystkiem przedmiotem parady, oznaką.

Hrabia uczynił ruch ręką. Żona uprzedziła go copredzej.

— Panie — wyrzekła hrabina — jeśli człowiek, o którym pan mówisz, posiada choć odrobinę wstydu...

Zamilkła, onieśmielona spokojnem jego spojrzeniem.

Powtórzył za nią:

— Jeśli ten człowiek posiada choć odrobinę wstydu..

Uczuła, że nie wygra z nim tą drogą. Tłumiąc więc w sobie gniew i oburzenie, cała drżąca od upokorzonej dumy, wyrzekła niemal uprzejmie:

— Panie, legenda mówi, że kiedy Rétaux de Villette miał w ręku Naszyjnik królowej i kiedy na współkę z Joanną de Valois wyjął z niego wszystkie brylanty, nie ośmielił się dotknąć osady. Zrozumiał, że brylanty są tylko ozdobą, akcesoryą, a osada jest główną częścią, samą kreacyą artysty — i uszanował ją. Czy sądzisz pan, że i bohater pańskiej opowieści myślał podobnie?

— Nie wątpię, że osada istnieje. Dziecko ją uszanowało.

— A zatem panie, jeśli kiedykolwiek zdarzy się panu spotkać tego człowieka, powiedz mu pan, że niesłusznie zatrzymuje u siebie jedną z tych relikwii, co bywają własnością i chlubą pewnych rodzin, i że chociażby wyjął wszystkie kamienie, Naszyjnik królowej nie przestanie należeć do domu Dreux-Soubise'ów. Należy tak do nas, jak naszę imię, nasz honor.

Floriani odpowiedział tylko:

— Powiem mu to!

Skłonił się przed nią, pożegnał hrabiego, pożegnał jednego po drugim każdego z obecnych i wyszedł.

W cztery dni potem pani de Dreux znalazła na swym stoliku pudełko z czerwonej skóry z herbami kardynała. Otworzyła. Był tam „Naszyjnik królowej w niewoli".

Ponieważ w życiu człowieka, dbałego o zgodność z logikę, wszystkie czyny dążyć muszą do jednego celu — a że przytem trochę reklamy nie jest nigdy zbytecznem — nazajutrz *Echo de France* ogłosiło następny sensacyjny ustęp:

„Naszyjnik królowej, słynny klejnot historyczny, zabrany niegdyś rodzinie de Dreux-Soubise, został odnaleziony przez Arsena Lupin. Arsen Lupin pospieszył zwrócić go prawym jego właścicielom. Można tylko przyklasnąć temu rycerskiemu, wytwornemu czynowi".

Siódemka kierowa.

Powstaje pytanie — a nieraz było mi zadawane: jakim sposobem poznałem Arsena Lupin?

Nikt chyba nie wątpi, że go znam. Szczegóły, jakie zbieram o tym niezwykłym człowieku, fakty niezbite, które podaję, nowe próby, wyjaśnienie pewnych czynów, których ludzie widzą tylko stronę zewnętrzną, nie przeczuwając motorów tajemnych niewidzialnego ich mechanizmu — wszystko to wyraźnie dowodzi, jeśli nie ścisłej przyjaźni — na tę sposób życia Lupina nie może pozwolić — to przynajmniej blizkich stosunków i pewnych z jego strony wynurzeń.

Lecz jakże go poznałem? Skąd spływa na mnie łaska być jego historykiem? I dlaczego na mnie, nie na kogoś innego?

Odpowiedź łatwa: nie zasługa moja, lecz jedynie przypadek tu rozstrzygnął. Tylko przypadek postawił mnie na jego drodze. Przez przypadek jedynie wmieszałem się do jednego z najniezwyklejszych, najbardziej tajemniczych zdarzeń, przez przypadek zresztą stałem się aktorem dramatu, który Arsen Lupin cudownie postawił na scenie, dramatu tajemniczego, złożonego, najeżonego tylu wypadkami, że w chwili, gdy mam go opowiedzieć, doznaję pewnego zakłopotania.

Akt pierwszy rozgrywa się podczas tej nocy pamiętnej z 22 na 23 czerwca, o której swego czasu tak wiele mówiono. Ze swojej strony zaznaczam odrazu, że zachowanie się moje w całej tej sprawie dość anormalne, przypisać należy szczególnemu nastrojowi, w jakim znajdowałem się, wracając w noc tę do domu. W kółku przyjaciół jedliśmy obiad w restauracyi Kaskady i przez cały wieczór, paląc i przysłuchując się smętnym walcom cygańskiej kapeli, rozmawialiśmy o zbrodniach, kradzieżach, przerażających ponurych intrygach. Nie jest to dobre do snu przygotowanie.

Sain-Martinowie odjechali automobilem. Jan Daspry — ten miły, wesoły Daspry, który w pół roku potem w tak tragiczny sposób został zamordowany na granicy Marokka — on zatem i ja piechotą wracaliśmy do domu podczas ciemnej, parnej nocy. Kiedy stanęliśmy wreszcie przed małym domkiem w Neuilly przy placu Maillot, gdzie mieszkałem od roku, zagadnął mnie nagle:

— I nie obawiasz się pan nigdy?

— Co za pytanie!

— Ba, tak odosobnione mieszkanie! nikogo w sąsiedztwie — obok puste szlaki — miejscowość niepewna... Naprawdę nie jestem tchórzem, a jednak...

— Żartujesz pan sobie!

— Ech, mówię tak tylko. Saint-Martinowie nakładli mi w głowę bandyckich historyj...

Ścisnąwszy mi rękę, odszedł. Dostałem klucz i otworzyłem drzwi.

— To dobrze! — mruknąłem — Antoni zapomniał zapalić mi świecy.

I nagle przypomniałem sobie: Antoniego nie było, uwolniłem go na cały wieczór dzisiejszy.

W ciemności i ciszy było mi bardzo nieprzyjemnie. Omackiem, jak najprędzej poszedłem do mego pokoju i tam, wbrew swemu zwyczajowi, natychmiast drzwi za sobą na klucz zamknąłem.

Światło świecy wróciło mi spokój. Wyjąłem wszakże rewolwer z futerału, duży rewolwer o długiej rękojeści i położyłem go na stoliku przy łóżku. To zabezpieczenie uspokoiło mnie do reszty. Poczem położyłem się i jak zwykle przed zaśnięciem wziąłem do rąk z nocnego stolika książkę, która tam zawsze na mnie oczekiwała.

Zdziwiłem się ogromnie. Zamiast rozcinacza którym naznaczyłem wczoraj odczytaną stronicę, leżała tam koperta, zapieczętowana pięciu z czerwonego laku pieczęciami. Na wierzchu wypisane było moje imię i nazwisko, u dołu zaś uwaga: „Pilne".

List! i to jest do mnie! Kto go mógł położyć w tem miejscu? Rozdarłem kopertę nieco nerwowo i czytałem:

„Z chwilą, gdy pan otworzysz ten list, cokolwiek się stanie, cokolwiek pan usłyszysz, nie rusz się, nie uczyń żadnego gestu, nie krzyknij. Inaczej jesteś pan zgubiony".

Ja także nie jestem tchórzem; tak dobrze jak każdy inny, potrafię zmierzyć się z niebezpieczeństwem realnem, albo zaśmiać się z chimerycznych przygód, któremi rozigrana wyobraźnia nas straszy. Ale, jak mówiłem, umysł mój działał dziś nienormalnie, bardziej był wrażliwy; nerwy, że tak rzeknę, były na powierzchni skóry. A prócz tego, czyż nie było tu czegoś szczególnie niepokojącego i niewytłumaczonego, co mogłoby wstrząsnąć najbardziej nieustraszoną duszą!

Palce moje ściskały konwulsyjnie papier listu, a oczy odczytywały bez przerwy te groźne wyrazy: „Nie rób żadnego gestu... nie krzyknij... inaczej jesteś zgubiony..."

Co znowu! pomyślałem, jakiś żart, jakiś koncept głupi!

Gotów byłem zaśmiać się, chciałem nawet roześmiać się głośno. Któż mi przeszkodzi? Jakaż nieokreślona obawa zamknie mi gardło?

Przynajmniej zgaszę świecę. Nie, nie mogę zgasić. „Żadnego poruszenia, albo zginiesz" wyraźnie pisano.

Lecz pocóż walczyć przeciw tego rodzaju autosuggestyi, która często jest silniejsza, niż najbardziej realne przyczyny? Mogłem tylko zamknąć oczy. Zamknąłem je.

W tej chwili w ciszy rozległ się lekki szelest, potem chrzęst. Zdało mi się, że pochodzi to z wielkiej sali, w której urządziłem sobie pokój do pracy, a oddzielony od mojej sypialni tylko przedpokojem.

Zbliżanie się rzeczywistego niebezpieczeństwa wzburzyło mnie, miałem wrażenie, że zaraz porwę się, chwycę rewolwer i rzucę się do sali. Nie wstałem jednak: naprzeciw mego łóżka jedna z firanek u okna poruszyła się.

Nie mogło być żadnej wątpliwości: poruszyła się. I poruszyła się jeszcze! Spostrzegłem — o, spostrzegłem wyraźnie — między firankami i oknem, w tej ciasnej przestrzeni zaznaczały się kształty ludzkie, przeszkadzające fałdom firanki równo spuszczać się ku ziemi.

I ta istota także mnie widziała; poprzez szerokie okna tkaniny widziała mnie napewno. Teraz zrozumiałem wszystko. Podczas gdy inni wynosili zdobycz, jego zadaniem było trzymać mnie na oku. Wstać? Schwycić rewolwer? Niemożebne! Stał tam — najmniejszy ruch, najmniejszy krzyk — i jestem zgubiony.

Gwałtowny stuk wstrząsnął całym domem. A potem nastąpiły drobniejsze uderzenia, po dwa, po trzy, jak uderzenia młota, który opada i odbija się parokrotnie. Przynajmniej tak mi się to przedstawiało w zgorączkowanym mózgu. Potem jeszcze inne podniosły się odgłosy, powstał hałas, dowodzący wyraźnie, że nie krępowano się tam wcale i brojono z zupełną swobodą.

I mieli słuszność: byłem znieruchomiony. Czy było to tchórzostwem? Nie — zniecestwienim raczej, niemożebnością poruszenia chociażby jednym członkiem. Roztropnością zresztą, bo pocóż walczyć? Za tym człowiekiem stało dziesięciu innych, którzy zjawiliby się tu na jedno jego zawołanie. Czy warto ryzykować życiem dla ocalenia nieco sprzętów albo kilku drobiazgów?

Męczarnia ta trwała przez noc całą. Męczarnia niemożebna, istne tortury! Hałas ucichł, ale nie przestawałem oczekiwać go znowu. A człowiek! ten człowiek z okiem utkwionem we mnie, z bronią w ręku. Nie zdejmowałem z niego wzroku. A serce mi biło i pot płynął z czoła, występował na całe ciało!

Aż nagle przejęła mnie błogość niewypowiedziana — wóz z mlekiem, którego turkot dobrze znałem, przejechał przez plac i jednocześnie doznałem wrażenia, że świt zaczyna przedzierać się przez spuszczone żaluzye; nieco jasności mieszać się zaczęło z mrokiem nocy. I dzień wpłynął do mego pokoju i słyszałem turkot innych wozów — i widma nocy znikły.

Zwolna, nieznacznie wysunąłem rękę. Na oknie nic się nie poruszyło. Utkwiłem wzrok w fałd firanki, wybrałem miejsce, gdzie mam mierzyć, śpiesznie obliczyłem ruchy, które muszę wykonać, chwyciłem raptownie rewolwer i strzeliłem.

Z okrzykiem oswobodzenia wyskoczyłem z łóżka. Rzuciłem się do okna. Firanka była przestrzelona, szyba była przestrzelona. Ale człowieka

dosiądz nie zdołałem... z tej prostej przyczyny, że nie było nikogo.

Nikogo! Więc przez noc całą hypnotyzował mnie jeden fałd firanki! A tymczasem złoczyńcy... Z okrzykiem wściekłości, którego nie mogłem powstrzymać, obróciłem kluczem w zamku, otwarłem drzwi, przebiegłem przedpokój, drugie drzwi otworzyłem i wpadłem do sali.

Ale zdumienie przykuło mnie do progu: ogłuszony, zdyszany, czułem się bardziej jeszcze zdziwiony, niż przed chwilą nieobecnością człowieka za firanką. Wszystkie te rzeczy, o których myślałem, że są wyniesione, meble, obrazy, stare aksamity i stare jedwabie — wszystkie były na swojem miejscu!

Nieoczekiwany widok! Własnym oczom nie wierzyłem! Lecz cały ten hałas, ten stuk wynoszonych sprzętów?... Obszedłem pokój dokoła, badałem ściany, przeglądałem każdy przedmiot, policzyłem wszystkie — niczego nie brakło! I co najwięcej mnie dziwiło, to że nic zgoła nie wskazywało na bytność złoczyńców, żadnej oznaki, ani jednego krzesła ruszonego, żadnego śladu.

— Cóż to? cóż to? — mówiłem, oburącz ściskając głowę — nie jestem przecież waryatem! Słyszałem wyraźnie!...

Cal po calu, ze wszystkiemi najdrobniejszemi wskazówkami śledztwa, zbadałem całą salę. Napróżno. Lub raczej... czy można to jednak uważać za jakieś odkrycie? Pod niewielkim perskim dywanikiem, rzuconym na podłogę, znalazłem kartę, zwykłą kartę do grania. Była to siódemka kierowa, podobna do wszystkich siódemek kierowych kart francuskich, drobny jednak szczegół, dość ciekawy, zwrócił moją uwagę. Ostry koniec każdego znaczka czerwonego w kształcie serca przekłuty był nawskróś, okrągło i regularnie, jakby ostrzem szydła. I było to wszystko. Karta i list znaleziony w książce. Poza tem nic. Czy mogło to starczyć do twierdzenia, że nie byłem ofiarą gry wyobraźni?

* * *

Dzień cały robiłem poszukiwania w salonie. W porównaniu z niewielkimi rozmiarami całego domu był to pokój duży z ornamentyką, która świadczyła wyraźnie o dziwacznym guście jej twórcy. Parkiet tworzyła mozaika z drobnych różnobarwnych kamieni, ułożona w symetryczny szeroki rysunek. Podobna mozaika w kształcie licznych panneaux pokrywała ściany, były tam alegorye pompejańskie, utwory bizantyjskie, freski średniowieczne. Tu Bachus rozkraczony na beczce, tam cesarz w złotej koronie, z jaśniejącą brodą, trzymał miecz w prawicy.

Zupełnie wysoko, jak gdyby w jakiej pracowni, znajdowało się szerokie, a jedyne okno. Było ono zwykle całą noc otwarte i można byłoby przypuścić, że tamtędy, przy pomocy drabiny weszli złoczyńcy. Ale i tu nie było pewności. Słupy drabiny musiałyby wycisnąć ślady na ubitej ziemi podwórza — nie było ich wcale. Trawa pustkowia, otaczającego dom, musiałaby również świeżo być wytartą: nie była wytartą.

Przyznać muszę, że nie miałem wcale zamiaru zawiadamiać policyi, tak dalece wszystkie te fakty wydały mi się niejasne i wprost niemożebne. Wyśmianoby mnie. Ale nazajutrz nadeszła moja kolej kroniki w *Gil Blas*, gdzie wówczas pisywałem. Mając pełną głowę tych awanturniczych zdarzeń, opisałem je od początku do końca.

Artykuł nie przeszedł bez wrażenia, ale spostrzegłem wkrótce, że nie biorą go na seryo; opowiadanie moje uważają bardziej za fantazyę, niż za wypadek rzeczywisty. Saint-Martinowie żartowali ze mnie. Daspry wszakże, któremu nie brakło pewnej znajomości takich rzeczy, przyszedł do mnie, kazał sobie szczegółowo powtórzyć wszystko i sam badał... wszakże również bez żadnego skutku.

W parę dni potem, jednego poranku, ozwał się dzwonek u kraty i Antoni przyszedł mi oznajmić, że jakiś pan żąda widzieć się ze mną. Nie chciał powiedzieć swego nazwiska. Kazałem go prosić.

Był to mężczyzna około lat czterdziestu, mocny brunet, o twarzy energicznej; odzież czysta, chociaż zużyta, świadczyła o pewnego rodzaju elegancyi, która nie licowała z ruchami nieco gminnymi.

Bez wstępu powiedział mi — głosem szorstkim i akcentem, który potwierdził mój domysł jego stanowiska społecznego:

— Panie, będąc w drodze, zaszedłem do jednej kawiarni, wpadł mi do ręki *Gil Blas*. Przeczytałem pański artykuł. Zajął mnie... bardzo.

— Dziękuję panu.

— I wróciłem.

— A!

— Tak, żeby z panem pomówić. Czy wszystkie fakty, które pan tam opisałeś, są prawdziwe?

— Wszystkie prawdziwe.

— I niema ani jednego z pańskiego wymysłu?...

— Ani jednego.

— W takim razie mógłbym może udzielić panu pewnych wyjaśnień.



Okrzyk przerażenia wydarł mi się z ust.

— Słucham pana.

— Nie.

— Jakto, nie?

— Zanim wypowiem, muszę je sprawdzić na miejscu.

— A dla sprawdzenia?

— Muszę być sam w tym pokoju.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Nie uważam, naprawdę...

— Jest to myśl, którą powziąłem, czytając pański artykuł. Pewne szczegóły zgadzają się w zadziwiający sposób z innemi zdarzeniami, które wypadkowo odkryłem. Jeślibym mylił się, wolę wszystko zachować w milczeniu. A jedyny sposób dowiedzenia się prawdy jest, abym pozostał tu sam.

Co znaczyła ta propozycya? Później przypomniałem sobie, że czyniąc ją, człowiek ten był niespokojny i wyraz twarzy miał zakłopotany. Ale wtenczas, na razie, chociaż byłem nieco zdziwiony, nie znalazłem nic bardzo szczególnego w jego prośbie. A zresztą byłem ogromnie zaciekawiony. Odpowiedziałem zatem:

— Zgoda. Ile trzeba na to czasu?

— Och, trzy minuty, nie więcej. Równo za trzy minuty wyjdę do pana.

Wyszedłem z pokoju. Stanąwszy na dole, wydostałem zegarek. Upłynęła jedna minuta — dwie minuty... Dlaczego czułem się tak przejęty? Dlaczego chwile te wydały mi się uroczystsze, niż inne? Dwie minuty i pół... Dwie minuty i trzy ćwierci... Nagle rozległ się strzał.

Kilku krokami skoczyłem przez schody i stanąłem na progu. Okrzyk przerażenia wydarł mi się z ust.

Na środku sali leżał ten człowiek, nieruchomy, zwrócony na lewy bok. Z czaszki płynęła krew zmieszana z cząstkami mózgu. Obok ręki leżał rewolwer jeszcze dymiący.

Kilka razy drgnął konwulsyjnie — i było po wszystkiem.

Lecz bardziej jeszcze niż ten straszliwy widok, uderzyła mnie jedna rzecz, pewien drobiazg, który sprawił, że nie zacząłem wołać natychmiast o ratunek, że nie upadłem przy nim na kolana, aby sprawdzić, czy nie oddycha jeszcze. O parę kroków od niego, na ziemi, leżała siódemka kierowa!

Podniosłem ją. Siedm koniuszków siedmiu znaków czerwonych były przebite nawskróś!...

* * *

W pół godziny potem przybył komisarz policyi de Neuilly, potem lekarz sądowy, wkońcu szef tajnej policyi pan Dudouis. Starałem się, aby nie dotknąć trupa; nic nie powinno zepsuć pierwszych badań śledztwa.

Były krótkie; tem krótsze, że na razie nie znaleziono nic, albo bardzo niewiele. W kieszeni samobójcy nie było żadnej notatki, na odzieży żadnego imienia, na bieliźnie żadnej cyfry. Ogółem żadnej wskazówki, która mogłaby wykazać jego osobistość.

W sali także porządek był nienaruszony. Meble stały nietknięte, wszystkie przedmioty znajdowały się na swojem miejscu. A jednak człowiek ten nie przyszedł jedynie z myślą zabicia się i nie dlatego, że mieszkanie moje wydało mu się najodpowiedniejszem do popełnienia samobójstwa. Musiał mieć inny jakiś powód, który go popchnął do tego czynu rozpaczy, a powód ten musiał wynikać z jakiegoś faktu, który on odkrył tutaj, w przeciągu trzechminutowej samotności. Jakim był ten fakt? Co takiego mógł tu spostrzedz? Co tu zastał? Jaką tajemnicę straszną mógł tutaj odkryć? Trudno było robić jakieś przypuszczenie.

W ostatniej chwili wszakże zaszedł wypadek, który mógł być wielkiej doniosłości. Gdy dwaj agenci pochylili się, aby dźwignąć zabitego i złożyć go na noszach, spostrzegli naraz, że dłoń lewa, dotąd zaciśnięta kurczowo, otworzyła się i wypadła z niej zmięta zupełnie karta wizytowa.

Na karcie było nazwisko: Jerzy Andermatt, ulica de Berry 37.

Co to mogło znaczyć? Jerzy Andermatt był bogatym bankierem paryskim, założycielem i prezydentem Biura metalowego, które tak doniosły wpływ wywarło na rozwój przemysłu metalurgicznego we Francyi. Bankier żył na wielką skalę posiadał *mail-coach*, samochody, konie wyścigowe. Przyjęcia w jego domu były bardzo uczęszczane, a pani Andermatt znana była jako osoba szczególnej wdzięku i piękności.

— Byłożby to nazwisko zmarłego? — wyszeptałem.

Szef tajnej policyi pochylił się nad trupem.

— Nie, to nie on. Andermatt jest blady, trochę siwiejący.

— Pocóż zatem ta karta?

— Masz pan tu telefon?

— Jest w przedpokoju. Jeśli zechcesz pan pójść ze mną...

Poszukał w wykazie i poprosił o numer 415.21.

— Czy pan Andermatt w domu? Proszę mu powiedzieć, że Dudouis prosi go o przybycie natychmiast; bulwar Maillot 102. Sprawa pilna.

We dwadzieścia minut potem pan Andermatt wysiadał ze swego samochodu. Wyjaśniono powody, dla których go wzywano i zaprowadzono go przed trupa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pojednanie sułtana z bratem.

Jak wiadomo sułtan Abdul Hamid ma młodszego brata, domniemanego następcę tronu tureckiego, popieranego gorąco przez Młodoturków. Książe Mohamed Reszad Effendi był dotąd osobą na dworze niemile widzianą, gdyż sułtan pragnął po sobie zostawić następstwo swemu kochanemu synowi Burhan Eddinowi. To też chociaż książe Reszad liczy już lat 64 żywota i piastuje wysoką w hierarchii tureckiej rangę marszałka porucznika, bardzo mało o nim dotąd słyszeliśmy, nawet mieszkańcy Konstantynopola nie wiele o nim mogliby powiedzieć, gdyż książe znajdował się pod pewnego rodzaju aresztem domowym. Nie wolno mu było pokazywać się na ulicy, a jeśli już opuścił mieszkanie, był na każdym kroku pilnie strzeżony.

Sułtan i kamarylla dworska posądzali go zawsze o sprzyjanie Młodoturkom i ruchowi wolnościowemu. Ale z chwilą, gdy zmieniły się prądy na dworze konstantynopolitańskim i właściwie Młodoturcy uchwycili rządy w ręce, nastąpiło także pojednanie, być może pozorne, pomiędzy braćmi. Na uroczystej audyencyi w obecności licznych dostojników dworskich dopuszczono ks. Reszada do ucałowania prawicy sułtańskiej i odtąd może on się już bezpiecznie pokazywać na ulicach Konstantynopola, nie narażony na ciągłe śledzenie przez szpiegów dworskich. Ludność stolicy przyjmuje go wszędzie owacyjnie, gdyż na podstawie tureckiej konstytucyi jest on jedynym prawowitym następcą tronu, a znanym jest ze swych liberalnych zapatrywań i sprzyjania reformom. Czy zgoda między braćmi długo potrwa, nie wiadomo, to jednak pewne, że dopóki obecne stosunki w Turcyi się nie zmienią na dawne, książe Reszad może spokojnie używać upragnionej wolności, na którą tak długo czekał.

W bieżącym numerze podajemy portret ks. Reszada wedle nadesłanej nam przez jednego z Polaków w Konstantynopolu fotografii.



Pojednanie sułtana z bratem: Mohamed Reszad Effendi, młodszy brat sułtana.

Wypadek kolejowy pod Warszawą.

W ubiegłym tygodniu doszła do Warszawy wiadomość o katastrofie kolejowej na jednej z pobliższych stacyi kolejki markowskiej. Mówiono o wielu ciężko rannych, a nawet zabitych, o rozbiciu kilku wagonów i lokomotywy — słowem w ustach publiczności wypadek ów urósł do rozmiarów bardzo wielkich.

Na szczęście okazało się, iż pierwsze wiadomości, jakie o wypadku kolejowym na lini markowskiej doszły do Warszawy, były mocno przesadzone. Wydarzyło się tam mianowicie tylko wykolejenie lokomotywy i jednego wagonu osobowego. Wypadek zaszedł na stacyi Struga, skutkiem fałszywego ustawienia zwrotnicy. Wjeżdżający właśnie na stacyę pociąg osobowy wykoleił się, a lokomotywa runęła na tor. Znajdujący się na niej maszynista Bronisław Tirczewski odniósł dość ciężkie rany, po za nim jednak nikt nie doznał szwanku. Jeden wprawdzie wagon osobowy wykoleił się, ale publiczność wyszła cało.

Skończyło się więc tylko na stratach materyalnych, znacznych bardzo z powodu zniszczenia lokomotywy. Także tor kolejowy na przestrzeni kilkudziesięciu sążni uległ ruinacyi — skutkiem czego komunikacya została przerwana na dłuższy czas.

Illustracye nasze przedstawiają właśnie pracę około podniesienia lokomotywy, oraz ustawioną już lokomotywę i ogólny widok miejsca katastrofy.



Wypadek kolejowy pod Warszawą: Widok ogólny miejsca katastrofy.



Wypadek kolejowy pod Warszawą: Praca około podniesienia lokomotywy.



Wypadek kolejowy pod Warszawą: Lokomotywa ustawiona po wypadku na torze.

Nagły zgon posła.

(Do illustracyi na stronie 10).

W dniu 18 września br. zmarł w Suchej Antoni Pawlaszkiewicz, wieloletni burmistrz miasta, a od czasu ostatnich wyborów i poseł do Rady państwa z tamtejszego okręgu. Jako burmistrz położył on wielkie zasługi około podniesienia miasta, był też bardzo ceniony z powodu zalet charakteru, wybitnych zdolności i niezłomnej energii. Zmarły był członkiem stronnictwa demokratycznego.

W niedzielę odbył się pogrzeb zmarłego posła, w którym oprócz miejscowej ludności wzięło udział i wiele osób z okolicy. Przybyła in gremio rada miejska z zastępcą burmistrza na czele, rada powiatowa żywiecka, oraz delegaci miejscowych i okolicznych towarzystw, straż ogniowa Suchej i Makowa, Sokół i szkoły. Koło polskie reprezentowali posłowie: Petelenz, Buzek, ks. Rzeszódko, Łuszczkiewicz i Dobija, którzy na trumnie złożyli wieniec z napisem: Zacnemu koledze Koło polskie. Orszak pogrzebowy prowadził miejscowy proboszcz ks. dr. Kołodziej w otoczeniu licznego duchowieństwa. Przed domem żałoby przemówił radny p. Świerkosz, wyrażając zasługi zmarłego i żegnając go imieniem reprezentacyi miejskiej, następnie poseł Petelenz, uwydatniając nieskazitelny charakter zmarłego, jego szczerość i otwartość. Poważano go też w całem Kole i ceniono dla jego pojednawczej działalności. Po obu przemowach ruszył ogromny orszak żałobny, poprzedzony muzyką, do kościoła, a następnie na cmentarz, gdzie nad otwartą mogiłą pożegnał zmarłego ks. dr. Kołodziej nader rzewnem przemówieniem. Chór Sokoła odśpiewał kilka pieśni żałobnych.

Od prezesa Koła dra Głąbińskiego i prezydenta Weisskirchnera nadeszły na ręce rodziny depesze kondolencyjne.

W miejsce zmarłego wchodzi do parlamentu jako poseł dotychczasowy zastępca, p. Edward Krupka, znany kupiec ze Suchej.

W szerszem życiu nowy ten poseł nie jest dotąd znany, mieszkańcy Suchej jednak cenią go ogólnie i poważają. Będzie on w Kole polskiem jednym z niewielu przedstawicieli małego handlu, którego potrzeby w kraju naszym wymagają właśnie gorących i szczerych orędowników. Jako zaś demokrata wzmocni poseł Krupka lewe skrzydło Koła polskiego, zastępując niewątpliwie godnie zmarłego burmistrza.

Kronika tygodniowa.

(Niema cholery. — Środki na poty. — Wybory w Podgórzu. — Walka o plantacye. — Teatr i Filharmonia. — Sprawa obiadowa. — Klęska pod Grünewaldem — Balony. — Strejk piwny i wodna kuracya. — Strejki. — Drobiazgi).

Poprzednią kronikę zakończyłem wzmianką o najeździe cholery na Galicyę, co jednak zostało urzędownie zaprzeczonem, cholera nie jest wcale w Galicyi zameldowaną, więc jej niema. Wobec tego odpadła także moja propozycya: „na bombkę“! celem dezynfekcyi, a dzięki Bogu, że tak się stało, gdyż moja żona i nieboszczka teściowa zrobiły mi taką awanturę za to, że wogóle chciałem się już wyrzec kronikarstwa, aby przypadkiem z wyższą władzą domową nie wejść znowu w konflikt. Radość jednak „choleryczna“ była bez wartości, gdyż chociaż niema cholery, jest zato szkarlatyna i tyfus plamisty. Ja wogóle bardzo dbam o swoje zdrowie, więc też zaraz pospieszyłem do mojego nadwornego lekarza, który mi przepisał pocenie się, jako najlepszą prezerwatywę przed wszelakiemi zarazami. Szukałem długo najskuteczniejszych środków napotnych, nie mogłem ich jednak znaleść, przypadek naprowadził mnie dopiero na właściwą drogę. Wziąłem sobie poranny numer *Czasu* i jak zacząłem czytać nazwiska przyjezdnych, którzy mieszkają „pod Różą“, we „Wiktoryi“ itd. tak spociłem się należycie, choć nie doczytałem do końca. A opis taki zajmuje często prawie pół numeru!

Drugim dobrym środkiem na wypocenie się są artykuły naszych niektórych humorystów „z Bożej łaski“. W poprzednim numerze wspomniałem już o Czeczu z „wielkiego Bierzanowa“. Temu palmy pierwszeństwa nikt nie wydrze, ale stanął z nim w szranki artysta malarz p. Antoni Stopa, który w *Nowinach* z 12 września bieżącego roku w artykule pt. „Staropolska gościnność“ powiada, że lud nasz umyślnie hoduje robactwo, aby w zimie, gdy niema nic do roboty, mógł się zajmować iskaniem, gdyż nie czytając nic, skazany byłby na nudy.

Wogóle humorystów obecnie więcej, niż ich na własny użytek potrzebujemy, moglibyśmy nawet część ich wyeksportować za granicę. Takim humorystą jest i fejletonista *Naprzodu*, który w poniedziałkowym numerze umieścił ex re koronacyi Matki Boskiej Bolesnej płytki artykuł pt. „Bożek“. Nie wątpię, że byłoby milej redakcyi *Naprzodu*, gdyby tak mógł się odbyć podobnie masowy zjazd socyalistów np. z okazyi uroczystego założenia opaski na wąsy p. posłowi Daszyńskiemu lub opaski przepuklinowej p. Kleinbergerowi — byłby i huczek potrzebny, no i dochodzik niezgorszy, a na to partya przecież głównie poluje, nie znosząc żadnej konkurencyi.

To jednak mniej ważne! Ważniejsza rzecz, że w Podgórzu mają się wkrótce odbyć wybory do Rady miejskiej. Obecni i przyszli ojcowie miasta wysilają już dziś siły i mózgi, aby wybory wypadły jak najlepiej dla miasta i kieszeni; wobec gorączki wyborczej zapomniano nawet o Czeczowatem „wielkiem Podgórzu“ i cholerze! A walka zapowiada się zażarta, gdyż wszystkie stronnictwa stawiają swoich kandydatów. Nowa, właściwie odświeżona tylko, bo część dawnych radnych pozostaje, rada miejska będzie miała ważne zadanie, oświadczenie się co do przyłączenia Podgórza do Krakowa. Sądzić należy, że Duch święty oświeci umysły ojców miasta i zdrowy rozsądek weźmie górę nad prowincyonalną prywatą!

Podobnego oświecenia ciemności mózgowych życzyć należy i propagatorom idei zniszczenia kawałka plantacyi miejskich, aby rząd nie potrzebował kłopotać się z szukaniem miejsca pod nowy zakład fizyczny. O tem mowa wprawdzie na innem miejscu, lecz tu zaznaczyć muszę, że dziwić się trzeba, iż nasze miarodajne czynniki nie stanęły dotąd w obronie całości plantacyi, a za takie uważam w pierwszej linii radę miejską, właściwą opiekunkę całości dobra miejskiego, jakiem są plantacye, w drugiej zaś Towarzystwo miłośników Krakowa i jego zabytków. U nas zawsze brak inicyatywy, trzeba dopiero jakiegoś bodźca, aby sprawa z miejsca ruszyła. Tym bodźcem będzie może wystąpienie dra Uromskiego, który sam jeden wystąpił w obronie całości plantacyi i spodziewa się, że znajdzie licznych naśladowców. Brzydko byłoby, gdybyśmy w „wielkim Krakowie“ mieli „małe plantacye“.

Ale serca rosną nam zato z dumy, gdyż komisya teatralna przedłożyła sejmowi sprawozdanie, mocą którego dyrektor Solski otrzymał zupełną pochwałę za kierownictwo teatru, który — jak powiada sprawozdanie — utrzymuje się na należytym poziomie artystycznym, wykazując wielką przewagę sztuk oryginalnych nad tłómaczonemi. Pan Heller będzie więc zazdrościł Solskiemu, gdyż pochwała dla lwowskiego teatru jest częściowo osłabiona różnymi: „ale...“ Dlatego to wziął sobie pomocnika w osobie p. Pawlikowskiego, który ma naprawić braki, jaki dramat lwowski wykazuje. Będzie to ciężko, gdyż jak wiadomo p. Heller ma „węża“ w kieszeni, a tu trzeba forsować pieniędzmi.

Gdy już mowa o rzeczach artystycznych, to nie od rzeczy będzie wspomnieć, że spór w Filharmonii warszawskiej został szczęśliwie zakończony kapitulacyą p. Rajchmana, który z powodu „nadwątlonego zdrowia“ opuścił zajmowane dotąd stanowisko i wyjechał zagranicę; Warszawianie życzą mu: Szczęśliwej drogi! Wogóle narodek artystyczny jakoś jest bardzo wojowniczo usposobiony, jak to mieliśmy przykład na sporze jednego z artystów sceny warszawskiej z reżyserem panem Kamińskim. Artysta z powodu nieposłuszeństwa „władzy wyższej“ dostał od zarządu teatrów dymisyę.

Podobne nieporozumienia wybuchły i na Wschodzie. Geszow, ajent dyplomatyczny bułgarski przy dworze sułtańskim, nie został zaproszony na obiad dyplomatyczny do wielkiego wezyra, a ponieważ na ten dzień nie kazał u siebie gotować, pewny będąc zaproszenia, ogromnie się zirytował i zawiadomił o tem spostponowaniu swój rząd. Minister Paprykow, jak już z samego nazwiska widać, człowiek bardzo ostry, zagroził zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Turcyą, ta się zaczęła usprawiedliwiać, Bułgarya też trochę ustąpiła, no i sprawa „obiadowa“ jakoś szczęśliwie została rozwiązana.

A zaczęto się obawiać, że gotowa być z tego ogromna awantura! Na uspokojenie wpłynęła ogromnie dodatnio wieść, że Niemcy ponieśli klęskę pod Grünewaldem. Nie było to powtórzenie r. 1410. Tylko rozbicie balonu majora Parsevala, który zamiast szybować w przestworzach i głosić światu wielkość Niemiec, spoczął sobie spokojnie w ogrodzie jakiejś willi pod Grünewaldem obok Berlina. Ta klęska nie jest tak dotkliwa, jak poprzedni Grunwald, w każdym jednak razie, głęboko zadrasnęły dumę niemiecką i rozjątrzyła ranę, jaką zadał Zeppelin. Lecz niebiosa sprzyjają cesarzowi Wilhelmowi, bo jakoby kojącym ból plastrem jest znowu rekord balonowy majora Grossa, który przewyższył nawet Zeppelina! Także przyjemnie zrobiło się Niemcom, którzy — jak wiadomo — są zawsze *schadenfroh*, gdy się dowiedzieli, że Orville Wright spadł ze swego aeroplanu i kark skręcił. Wprawdzie za sześć miesięcy ma być zdrów, ale przez ten czas nie będą jego tryumfy drażnić nikogo, a tymczasem może Zeppelin będzie mógł rozpocząć próby z nowym balonem, który jest już na ukończeniu.

I Kraków nie pozostaje w tyle, gdyż jak się dowiadujemy zamierza zaprowadzić komunikacyę balonową w ulicy Floryańskiej i okolicy Rondla, którędy z powodu robót ziemnych przejazd i przejście jest zupełnie uniemożliwione. Także zamiast fortepianów do wywożenia śmieci mają być używane balony umyślnie w tym celu skonstruowane, bo jeśli polewanie ulic deszczem odbywa się z nieba, dlaczegóż tą samą drogą nie można wywozić śmieci?...

Bardzo boleśnie dotknęła Krakowian wiadomość, że w Czechach zanosi się na bojkot browarów i strejk piwny z powodu podwyższenia cen piwa. Wiadomo, że strejki są zaraźliwe, podobnie jak cholera, więc nuż ten strejk przedostanie się i na naszą ziemię? Jak tu wtedy wytrzymać bez piwa, gdy tak mile nęcą otwarte podwoje Wentzla, Hawełki, Suskiego, Kosza i innych dobrodziejów ludzkości? Przecież tak nisko nie upadniemy, byśmy mieli pić wodę?! Choć zdaje się, że na to się zanosi, bo po tegorocznych katastrofach drożyzna zaczyna się coraz bardziej dawać we znaki, i kto wie, czy nie nadejdzie czas, że braknie nietylko na piwo, ale nawet na wodę wodociągową! Wogóle taka wodna kuracya mogłaby nam tylko wyjść na zdrowie, gdyż jak już śp. Kneip uczył, własności lecznicze wody są nieocenione, czy to stosowanej wewnętrznie, czy zewnętrznie! Taką zewnętrzną wodną kuracyę doradziłbym Szwabom! Ostudziłaby ona ich zapalczywość, jakiej dali znowu dowody, prowokując słowiańską ludność Lublany i Cylei. Polała się tam i krew, gdyż wezwane celem uspokojenia tłumu wojsko użyło broni. Daleko zdrowiej byłoby puścić z kilku hydrantów strumienie zimnej wody, zapał ostygłby w jednej chwili, a zaszkodzić mogłoby chyba komuś, kto wody nie znosi.

Będziemy więc znowu mieli strejk! Po stolarzach idą tapicerzy. Z *Naprzodu* dowiedzieliśmy się, że jeżeli do 4 października majstrowie się nie poprawią, w dniu tym wybuchnie ogólny strajk tapicerów. Kto więc ma ochotę kupić kanapę, lub dać obić meble, niech się spieszy, za parę dni będzie późno! O jedno się tylko boję... mianowicie, aby z tym strejkiem nie było tak, jak ze strejkiem stolarskim. Robotnicy wybiedowali się dłuższy czas i ostatecznie nic nie wywalczyli, gdyż ich żądania były zanadto wygórowane. Wprawdzie *Naprzód* ogłosił, że partya okazała swą siłę, ale właściwy efekt, prócz szumnej reklamy dla idei socyalnej, był zerem.

Gdyby to tak zechcieli zastrejkować nasi kochani synaczkowie i córeczki, grający w *diabolo* na plantacyach! Taki strejk przyjąłbym z uznaniem! Bo proszę sobie wyobrazić, siedzę kiedyś na plantacyach i czytam *Nowości Illustrowane*, a wtem klaps! coś spada z nieba i rozdziera mi stronicę właśnie w najciekawszem miejscu. Przerażony, nie wiedziałem, co to być może, dopiero po chwili nadbiegła piękna panienka, i z pięknym ukłonem, a jeszcze piękniejszym rumieńcem, wyszeptała słodkie: „Przepraszam pana“ i zabrała krążek, który gdyby mnie był ugodził w łysinę, katastrofa gotowa!

Na zakończenie jeszcze jedna smutna wiadomość. Zbiory wina w Szampanii wypadły bardzo licho... Nas to jednak bardzo nie obejdzie, gdyż nasze szampany nie stoją w żadnym związku z winogronami szampańskiemi... są bowiem importowane wprost z Kazimierza lub Podgórza; oryginalny „wyrób krajowy“. Miło to słyszeć, jak korek strzeli, chodzi tylko, by do fabrykacyi używano nie zwietrzałej wody sodowej, gdyż taka siły niema! A będzie nam wkrótce potrzeba szampana, aby wypić zdrowie „wielkiego a d r o g i e g o Krakowa!“ Bo co drogi, to drogi!

Rada powiatowa wielicka i krakowska postanowiły zrobić dobry interes na „wielkim Krakowie“ i każą sobie zapłacić takie odszkodowanie, że się nie opłaci skórka na wyprawę. Ale Sejm, właściwie Wydział krajowy ograniczył należycie apetyt obu Rad powiatowych, które chciały się za jednym zamachem obuchać koron, a takie przeładowanie żołądka, choćby nawet złotem, to przecież nie zdrowe, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy cholera, choć jeszcze nie w Galicyi, ale mruga ku nam, robiąc „perskie oko“ z zagranicy. *X.*

Kącik humorystyczny.

Z »hofu« koszarowego.

Kanonier Piskorz wypadł z okna czwartego piętra koszar na podwórze, złamał, ręce, nogi „oraz“ podstawę czaszki. W umierającym stanie zawożą go do szpitala garnizonowego. Dyżurny lekarz asystent posyła prędko ordynansa po pana *sztabsarzta*, kierownika oddziału chirurgicznego. Po dłuższej chwili zjawia się pan *sztabsarzt*, ogląda chorego i pyta asystenta, marszcząc groźnie brwi:

— Czy chory *vorschriftsmässig* zameldował, w jaki sposób się to stało?!

Łagodzące okoliczności.

W lwowskim procesie bandy złodziei i ich króla Wasińskiego, zabrał wreszcie głos obrońca ostatniego. Jak może tak stara się osłabić zeznania świadków, wreszcie w toku obrończej mowy wygłasza i takie zdanie:

...A zreszą szanowni panowie przysięgli, proszę was, zważajcie i na okoliczności łagodzące! Prawda, że oskarżony Wasiński ukradł te akcye i papiery, ale zaraz na drugi dzień kurs ich spadł do tego stopnia, że o s k a r ż o n y p o n i ó s ł s a m n a n i c h o g r o m n ą s t r a t ę!...

Koncentracya demokracyi w Sejmie.

Tegoroczne wybory do sejmu krajowego, choć przeprowadzone wedle dawnej, przestarzałej ordynacyi wyborczej, nie dały konserwatywnym stronnictwom bezwzględnej większości. To też jeśli stronnictwa, zajmujące lewą stronę Izby, będą postępowały zawsze solidarnie, dotychczasowa przewaga konserwatystów musiałaby zostać złamana.



Koncentracya demokracyi w Sejmie: Prezes dr. Juliusz Leo.

Osiągnąć to będzie jednak rzeczą niezwykle trudną. Pierwszą trudnością jest już ta okoliczność, że z demokracyą i stronnictwem ludowem musiałyby działać zgodnie i oba stronnictwa ruskie, co w wielu wypadkach będzie niemożliwe. Dalej nawet wśród stronnictw demokratycznych polskich zgodę taką osiągnąć nie jest zadaniem łatwem. Wszak tyle już było usiłowań i prób w tym kierunku, a zawsze jakieś fatum ciężyło na wszelkich koncentracyach, konsolidacyach, uniach itd. demokracyi, zawsze kończyło się na programach i projektach, realnych jednak korzyści nie osiągnięto prawie nigdy.

Także więc i tegoroczna, w pierwszych dniach prac sejmowych dokonana konsolidacya trzech stronnictw demokratycznych przyjęta została z pewnem niedowierzaniem. Nie mniej atoli zjednoczenie demokracyi jest faktem bardzo doniosłym i może wywrzeć wielki wpływ na tok prac sejmu i ich kierunek.

W skład tej nowej unii wchodzą wszyscy demokratyczni posłowie sejmowi, a więc z polskiego stronnictwa demokratycznego, z demokracyi tak zw. krakowskiej i demokracyi narodowej.

Na czele unii stanął prezydent i poseł m. Krakowa dr. Juliusz Leo jako przewodniczący, a pp. dr. Rutowski i dr. Battaglia jako zastępcy przewodniczącego.



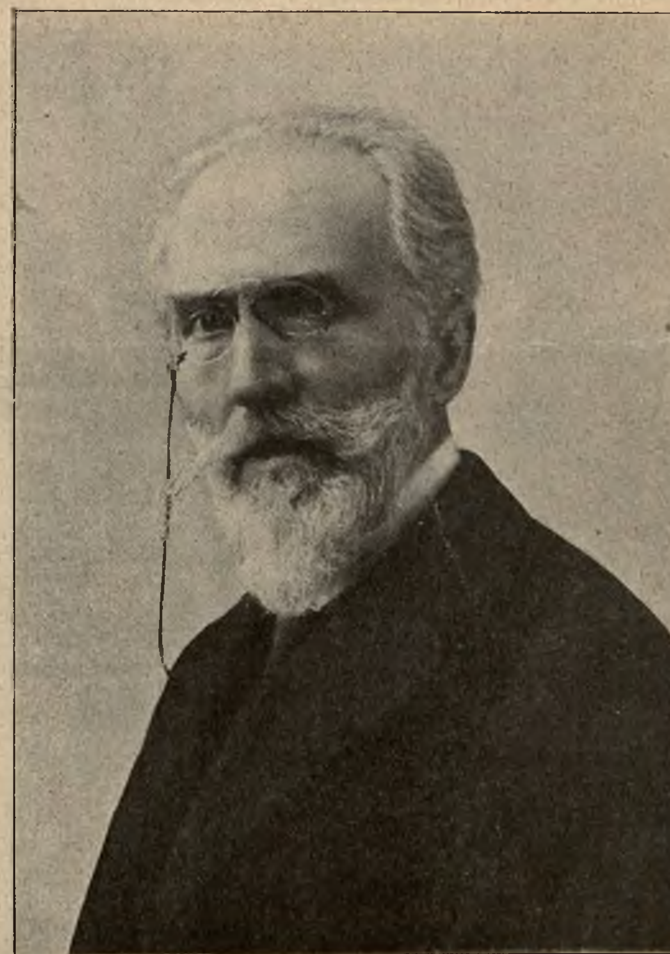
Koncentracya demokracyi w Sejmie: Wiceprezes dr. Roger bar. Battaglia.

Ogród Biblioteki Jagiellońskiej.

Wiadomą powszechnie jest rzeczą, jakie znaczenie dla upiększenia Krakowa i dla jego zdrowotności mają plantacye, obejmujące niby zielonym pierścieniem śródmieścia. Jest to jedyna z tych ozdób, których pozazdrościć nam muszą wszystkie miasta, które stanowią naszą chlubę i otaczane być powinny należytą opieką. Zarządy wielkich miast za granicą starają się zużytkować każdy wolny kawałek przestrzeni i zamieniają go w ogrody i skwery, tylko u nas dzieje się inaczej! Mamy prześliczne planty, a nie umiemy ich uszanować! Zabudowano już kawałki plantacyi w okolicy Wawelu, obecnie grozi im większe niebezpieczeństwo, gdyż wandalska ręka wyciąć chce część pięknych drzew w okolicy nowego uniwersytetu, gdzie na tyłach Biblioteki Jagiellońskiej ma rząd zamiar wybudować Collegium physicum. Nowy budynek ma według rządowego planu stanąć frontem do ulicy Gołębiej i plantacyi, a sięgać aż do dawnego gimnazyum nowodworskiego.

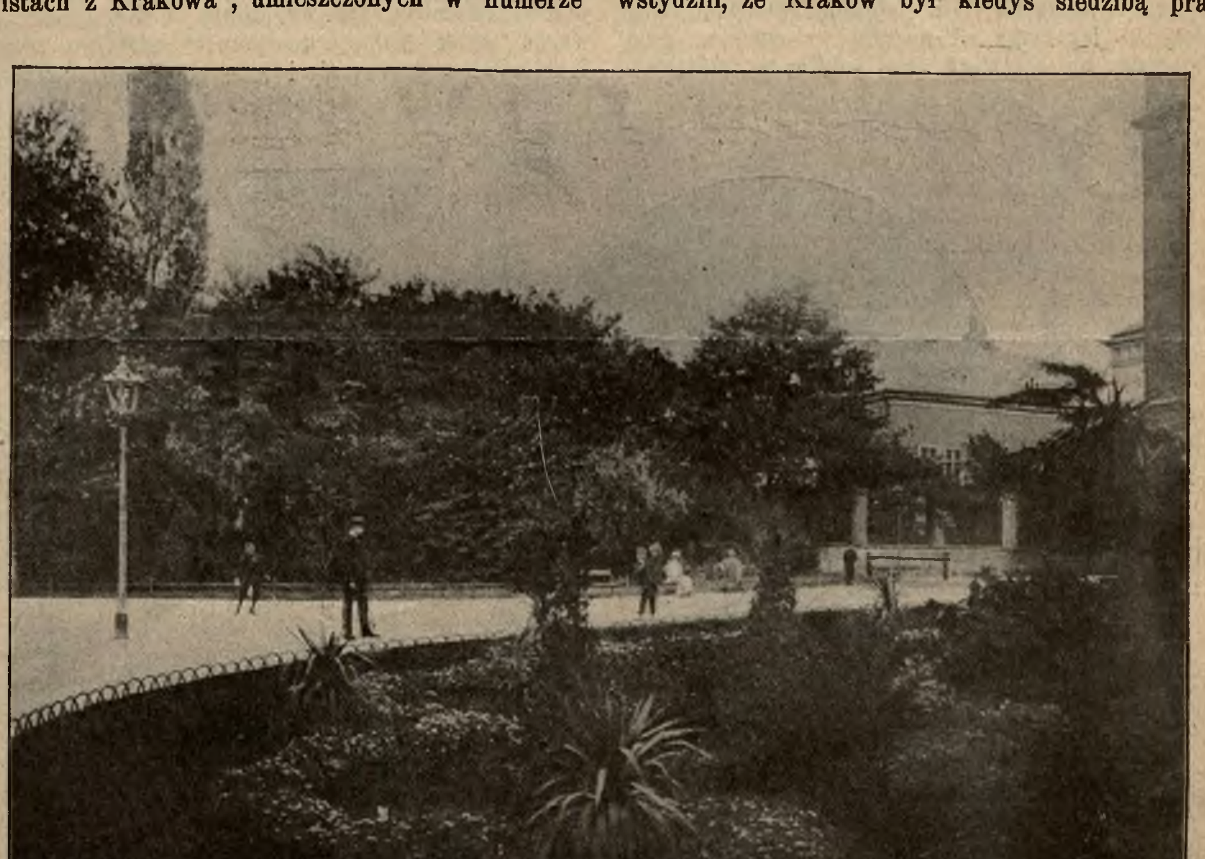
W ten sposób ogród koło biblioteki zniknie zupełnie z widowni, zasłoni się malowniczy widok tyłów Biblioteki, zniszczy się część plantacyi w najwęższem miejscu i zabierze się salom bibiotecznym potrzebne im światło. Zresztą na wybudowanie odpowiedniego dla zakładu fizycznego gmachu i miejsca tu mało i nie jest ono wcale stosowne. Uniwersytet nic na tem sąsiedztwie nie zyska, choćby nawet nową budowlę „dopasowano“ stylowo do otoczenia. Dla celów nowego gmachu odpowiedniejsze byłoby inne miejsce, np. na gruntach pofortyfikacyjnych. Zyskałoby na tem i miasto, rozszerzając się i sam budynek, gdyż tam nie musianoby się liczyć z szczupłością miejsca.

Dziwić się należy, że tak aktualna sprawa, choć *periculum in mora*, gdyż rozpisano już licytacyę na roboty nowego gmachu, nie znalazła dotąd należytego oddźwięku w naszej prasie. Poruszył ją, jak dotąd, jeden *Czas*, w doskonałych „Listach z Krakowa“, umieszczonych w numerze z dnia 12 września i znany, a ceniony lekarz krakowski dr. Henryk Uromski, prawdziwy miłośnik zabytków naszego grodu, w wydanej u Gebethnera broszurze pt. „Z Krakowa I“. Właściwie jest dr. Uromski jedynym dotąd jawnym obrońcą całości



Koncentracya demokracyi w Sejmie: Wiceprezes dr. Tadeusz Rutowski.

plantacyi, inne miarodajne czynniki, jak dotąd milczą, a kto wie, czy nie obudzą się za późno. A wystąpić tu powinna Rada miejska i założyć swe *veto*, głównie zaś Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa! Właśnie, jakby na nieszczęście, ów wspomniany wyżej jedyny przeciwnik kurczenia i zeszpecenia plantacyi, dr. Uromski, celem poratowania zdrowia musiał na kilka tygodni opuścić Kraków, na odjezdnem jednak poruczył sprawę kilku wpływowym, a życzliwym osobistościom. Być może staraniom ich uda się uratować ów piękny sporny kąt *starego* Krakowa, który za jednem pociągnięciem pióra ma zniknąć z widowni, pod budynkiem, wybudowanym w stylu „urzędowego galicyjskiego gotyku“. Dziwne to, jednak prawdziwe, że my z taką lubością niszczymy wszystkie starożytne zabytki, jakbyśmy się wstydzili, że Kraków był kiedyś siedzibą praw-



Ogród Biblioteki Jagiellońskiej: Zagrożona część plantacyi krakowskich.

dziwej kultury i sztuki! Bo czyż nie piękniej wygląda Uniwersytet na tle zieleni ogrodu i wobec starożytnych murów bibliotecznych, niż w sąsiedztwie nowego budynku, choćby nawet ten miał tak wspaniały komin, jak krakowski odwach!

Czyniąc użytek z fotograficznego zdjęcia, udzielonego nam przez dra Uromskiego i podając podobiznę owego jedynego obrońcy tego prześlicznego kąta starego Krakowa, spodziewamy się, że znajdzie on chętnych, a gorliwych naśladowców. *Caveant consules!*



Ogród Biblioteki Jagiellońskiej: Dr. Henryk Uromski.

Jubileusz królowej holenderskiej.

Chociaż królowa Wilhelmina holenderska liczy dopiero 28 lat życia, obchodziła przecież w dniu 31 sierpnia br. pierwszy swój jubileusz dziesięcioletnich samoistnych rządów. Wprawdzie nie obchodzono uroczyście tej rocznicy, ale zato prasa codzienna miała sposobność zajęcia się sprawami Holandyi z okazyi, że młoda królowa znów poroniła, a kraj nie może się doczekać następcy, lub choćby następczyni tronu.

Królowa Wilhelmina objęła rządy Niederlandów w r. 1889 po ojcu swym Wilhelmie III. Ponieważ w chwili wstąpienia na tron liczyła dopiero dziesięć lat życia, regencyę sprawowała za nią matka, księżna Emma Waldeck Pyrmont. Dopiero 31 sierpnia 1898 r. uznano młodą królowę za pełnoletnią. W dniu 6 września 1898 złożyła przysięgę na wierność konstytucyi i odtąd rozpoczęła samoistne rządy. Młoda królowa cieszy się ogromną sympatyą poddanych. W r. 1901 wstąpiła w związki małżeńskie z ks. Henrykiem meklembursko szweryńskim, jednak małżeństwo to jest dotąd bezdzietnem, co sprawia niemałe zmartwienie rodzinie królewskiej i rządowi, który w razie braku potomstwa będzie miał kłopot z załatwieniem kwestyi następstwa.

W bieżnym numerze podajemy portret młodej królowej-jubilatki.

Odznaczenie krakowskiej firmy.

Znana pierwszorzędna firma krakowska Henryka Schwarza odznaczona została świeżo na dorocznej paryskiej wystawie kostyumów i sukien damskich najwyższą nagrodą t. j. krzyżem zasługi, złotym medalem, oraz dyplomem honorowym za kostyum damski, wykonany w tejże pracowni.

Uznanie, które stało się udziałem krakowskiej firmy, jest tem zaszczytniejsze, ile że Francuzi niechętnie widzą, jeśli kto stara się im dorównać, więc też bardzo rzadko udzielają obcym podobnych wysokich odznaczeń, które łamią monopol stolicy świata, będącej jak dotąd wyrocznią w sprawach mody, szczególniej w zakresie konfekcyi damskiej.

Odznaczony w Paryżu kostyum wykonany jest z sukna koloru *drap*. Całość doborem barw i krojem przedstawia się wspaniale, dlatego zwróciła wśród setek innych kostyumów nietylko uwagę fachowych sędziów, ale i licznych pań, które zwiedzały tłumnie wystawę. Wykonano go na sezon letni, forma jednak nadaje się do kostyumów jesiennych i zimowych. Z wystawy paryskiej poszło odznaczone dzieło krakowskiej sztuki krawieckiej na otwartą w ostatnich dniach wystawę w Londynie.



Jubileusz królowej holenderskiej: Młoda królowa-jubilatka Wilhelmina holenderska.

Obecnie w pracowni firmy przygotowują kostyum, przeznaczony na krajową wystawę we Lwowie. Będzie on równie wspaniały, jak i odznaczony w Paryżu, a przed wysłaniem do Lwowa pomieszczony będzie na wystawie firmy przy ulicy Grodzkiej.



Odznaczenie krakowskiej firmy: Podobizny odznaczeń, przyznanych firmie Henryk Schwarz w Krakowie na wystawie w Paryżu.

Podział pracy w teatrze lwowskim.

Po kilkumiesięcznych pertraktacyach doszła przed paru dniami do skutku umowa między dyrektorem Ludwikiem Hellerem a p. Tadeuszem



Podział pracy w teatrze lwowskim: Dyr. Ludwik Heller.

Pawlikowskim, na mocy której p. Pawlikowski obejmie z początkiem grudnia br. artystyczne kierownictwo dramatu w lwowskim teatrze.

Wiadomość o tym doniosłym fakcie wywołała ogólne zadowolenie wśród wszystkich szczerych przyjaciół teatru we Lwowie. Chociaż bowiem kierownictwu teatru lwowskiego żadnych poważnych zarzutów nie można czynić, a o ile one się pojawiały, były dyktowane zawiścią osobistą i stronniczością, przecież nadzwyczajny a ogólnie znany smak artystyczny p. Pawlikowskiego przyczyni się w znacznej mierze do podniesienia wartości przedstawień dramatu na jeszcze wyższy poziom. Przedewszystkiem zaś oddanie artystycznego kierownictwa dramatu w ręce tak doświadczone pozwoli dyr. Hellerowi oddać się całkowicie sprawom opery. Bo o wszystkiem myśleć i o wszystko się starać było nad siły nawet tak dzielnego i tak żelazną energią obdarzonego człowieka, jak p. L. Heller.

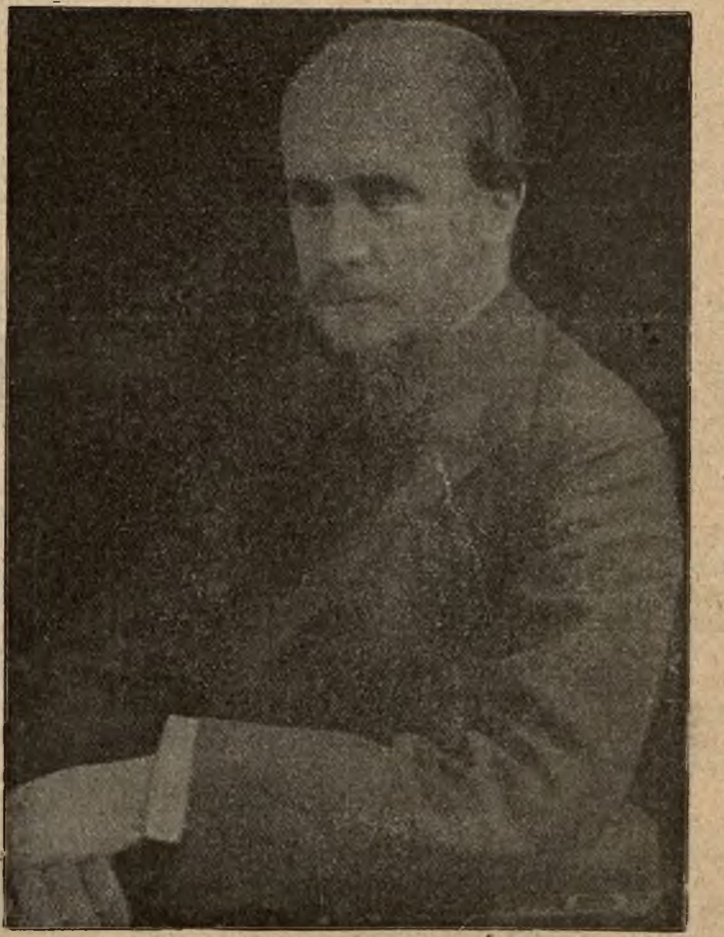
Zwróciła na to uwagę komisya artystyczna Rady miejskiej we Lwowie i w lecie zażądała od p. Hellera, by przyjął stałego dramaturga, powierzając mu częściowe kierownictwo dramatu: wówczas nawiązał p. Heller pertraktacye z p. Pawlikowskim, pertraktacye te jednak przez dłuższy czas rozbijały się, głównie z tego powodu, iż niepowołani „przyjaciele“ p. Pawlikowskiego odradzali mu współpracownictwa w teatrze lwowskim w stosunku z dyr. Hellerem. Wobec tego dyrektor Heller poprosił o interwencyę miejską komisyę artystyczną, która w tym celu wydelegowała swego członka, radnego dra Aszkenazego i ten nakłonił p. Pawlikowskiego do objęcia artystycznego kierownictwa dramatu.

Umowa wchodzi w życie — jak wspomnieliśmy na wstępie — z dniem 1 grudnia b. r., a obowiązywać ma do końca 1912 r.

Ponieważ zaś teatr lwowski wystawić ma w bieżącym sezonie cały cykl wspaniałych dramatów Słowackiego, współudział dyrektora Pawlikowskiego w tym kierunku będzie nadzwyczaj pożądany.

Okoliczność ta zmusi też niewątpliwie paru młodziutkich ale bardzo „surowych“ recenzentów lwowskich do zaprzestania niesmacznych napaści na kierownictwo teatru miejskiego we Lwowie.

Napaści te i pseudokrytyki nie szkodziły coprawda teatrowi wcale i nie wywierały żadnego wrażenia na publiczności, która stale zapełniała



Podział pracy w teatrze lwowskim: Dyr. Tadeusz Pawlikowski.

widownię w ciągu dwu lat dyrekcyi p. Hellera, mogły jednak zniechęcić do rzetelnej pracy zarówno kierownictwo sceny jak jej artystów.

Być może jednak, że i ten stosunek nie zaspokoi malkontentów, boć zawsze p. Heller jak był, tak i pozostanie dyrektorem teatru.

Z lwowskiego bruku.

(Co się obecnie dzieje we Lwowie. — Coś niecoś ze Sejmu. — W bufecie. — Prawo kobiet a moja agitacya. — Posiedzenie Sejmu o niedalekiej przyszłości. — O czem będzie się mówić. — Dzwonek marszałka. — Koniec posiedzenia).

Trudno jest nie pisać satyry, gdy się mieszka we Lwowie, a jeszcze trudniej jest pisać satyrę, gdy człowiekowi na płacz się zbiera. To, co się teraz dzieje na bruku lwowskim, nie da się opisać, ani poznać z opisu, bo to trzeba widzieć, czuć, i na tem „własnoręcznie“ kark skręcić, aby zrozumieć, poznać i odczuć należycie całą doniosłość obecnej roboty. Lwów rozkopany — to nic, bo to już było, Lwów podziurawiony — to nic, bo to już było, Lwów zadymiony — i to już było, bo trwa stale, Lwów założony i zabarykadowany żelazem, gliną i kamieniami — stara historya, Lwów śmierdzący, jak nieszczęście — i co wtem nowego? Lwów przepełniony kurzem — *alles schon da gewesen* — a więc co nowego? To wszystko razem podniesione do dziesiątej potęgi i pomnożone przez liczbę pionków magistrackiego galimatjaszu, a więc: Lwów nie do przejścia, nie do przejazdu, nie do przeskoczenia, nie do [o]ddychania, nie do wytrzymania — piekło!

Budują tramwaje, budują czteropiętrowe kamienice, budują trzypiętrowe kamienice, kanały, rury, dziury, dziury, dziury bez końca. I tak się jakoś przyjemnie złożyło, że wszystko zebrało się na jeden czas, dzięki czemu przechodzimy teraz przez czyściec i piekło, słowem mieszkamy we Lwowie.

Na tle tych piekielnych stosunków „płynie życie wartkim strumieniem“, chyba że po drodze potknie się o szyny, belki lub trawersy rozłożone po ulicach tuż pod trotuarami.

Otóż przedewszystkiem Sejm i cały szereg nowych posłów, którzy pilnie wysiadują w bufecie sejmowym i w kuloarach, podczas gdy na sali marszałek ogłasza przyjęcie jednej ustawy za drugą w pierwszem, drugiem i trzeciem czytaniu. Aż śmiech zbiera patrzeć, jak się u nas czyta i „uchwala“ ustawy. Naprzód referent mówi do swojej brody jakąś długą tajemnicę i daje wreszcie znak marszałkowi, że skończył czytanie. Potem marszałek pyta, czy nikt głosu nie żąda i nikt go nie żąda. Wreszcie woła:

— Kto jest za tym wnioskiem, raczy podnieść rękę.

I podnoszą się leniwie jakieś trzy ręce.

— Przyjęte! — woła marszałek.

I jest ustawa. A w bufecie ożywiony ruch. Jakiś ksiądz grzeszy śmiertelnie doskonałym apetytem, jakiś dyplomata zastanawia się głęboko zamyślony nad spisem potraw, a znany z elegancyi poseł mówi cielęcinie, którą mu podano, kilka wyszukanych komplementów, jakby ją miał nie zjeść, ale co najmniej zaangażować do kadryla.

Najwyższy czas, aby wpuszczono kobiety do Sejmu. Ja już kilka razy za tem przemawiałem, pisałem i agitowałem a teraz gotów jestem dalej agitować w jakiemś przyjemnem towarzystwie młodej agitatorki, w razie zaś pomyślnego rezultatu zastrzegam sobie nie mandat poselski, ale urząd sejmowego sprawozdawcy, bo to będzie prawdziwa kopalnia gracyi, szyku, humoru, dowcipu i urozmaicenia.

Wyobrażam sobie takkie posiedzenie sejmu z posłami męskiego i żeńskiego rodzaju mniej więcej w ten sposób.

Marszałek (d z w o n i) Proszę o spokój, nie udzieliłem głosu czternastu posłom naraz, ale jednemu posłowi, pani Buziakowskiej.

Poseł Buziakowska... Więc jak już wspomniałam, ród nasz jest upośledzony z całkiem niewiadomych mi przyczyn. Kobiety są tak samo zdolne i obdarzone tymi samymi przymiotami, co mężczyźni. Wy panowie dopiero po części przyznaliście nam równouprawnienie, wpuszczając nas do Sejmu, a raczej nie przyznaliście nam tego dobrowolnie, ale zdobyłyśmy sobie to prawo gwałtem i siłą, bo ono się nam słusznie należało.

Głosy damskie (c h ó r e m). Tak jest! Tak jest! Brawo! Rozbójnicy! Hajdamaki! Psy męskie! Precz z nimi! (*Marszałek* d z w o n i g w a ł t o w n i e).

Głosy damskie (c h ó r e m). Precz z męskim marszałkiem! Kobieta niech będzie marszałkiem! Precz z wąsatymi!

Poseł Buziakowska. Tylko proszę bez osobistych przytyków! Proszę mi pozwolić mówić dalej... Więc wracając do rzeczy mam zaszczyt i wątpliwy honor oznajmić panom, że my tego dłużej znieść nie możemy. To się raz skończyć musi. Nie wystarcza nam wstęp do urzędów, do wszechnic i do ciał parlamentarnych. My żądamy koniecznie i bezwarunkowo...

Głos damski (p r z e r y w a j ą c). My nie kucharki...

Poseł Buziakowska. Proszę mi nie przerywać. Nawiasem powiem koleżance, że teraz nie mówimy przecież o kucharkach, ale o polityce.

Głosy damskie. Słusznie! Przepraszam! Kucharki także mogą brać udział w polityce.

Poseł Buziakowska. Jeżeli jest mowa o kucharkach, to powiem paniom, że nie warto się za niemi wstawiać i walczyć o ich prawa. To są tyrany, które męczą nas i naszych mężów.

Wszystkie głosy damskie (c h ó r e m). Brawo!

Poseł Buziakowska. Moja naprzykład służąca dziś rano proszę państwa sama się zdradziła, że od miesiąca nosi moje pończochy!

Głosy damskie. Bezczelność!

Poseł Buziakowska. Oprócz tego znalazłam w jej kuferku moją rurkownicę, leniuszek jedwabny, trzy podwiązki i starą halkę.

Głos damski. Proszę o głos.

Inne głosy damskie. I ja! I ja! I ja! Proszę o głos! W tej samej sprawie! W tej samej materyi prosimy o głos.

Okropny hałas. Marszałek dzwoni, ale go nikt nie słyszy, więc ucieka z trybuny do bufetu, gdzie wszyscy męscy posłowie zrozpaczeni zalewają się pilznerem i szampanem.

(* * *).

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

12 Ciąg dalszy.

— Wcale nie, proszę, niech pan siądzie, czy ma pan na czem pisać?...

— Nie, niemam.

Gdy mu przyniesiono pióro, atrament i papier, usiadł przy stole i zaczął pisać list z prośbą o protekcyę, podając się za dziennikarza bez zajęcia. Po zapisaniu całej kartki, podniósł ją do góry, poruszając w powietrzu, by wyschła.

— Bibuły pan potrzebuje? — zapytała stróżka.

— O nie, niech się pani nie trudzi...

— To nic nie szkodzi... a i kopertę także?

— Jeżeli już pani taka łaskawa — i dodał — a czy pan Coche nie uprzedził, kiedy wróci?

— Nie. Kobieta, która sprząta u niego, przyszła jak zwykle przedwczoraj, nic nie wiedziała o wyjeździe pana. I teraz jest tutaj każdego rana, by powycierać kurze, żadnych jednak wiadomości niema. To dziwne, gdyż zwykle jak pan wyjeżdża, daje zawsze o tem znać.

Javel z napisanym papierem w ręku słuchał. Ten nagły wyjazd stawał się dla niego coraz bardziej podejrzanym, zwłaszcza biorąc pod uwagę znaleziony adres na skrawkach koperty i te dwa numery 26 i 16.

Stróżka opowiadała ciągle o Coche'u, wspominając o jego regularnem życiu, o porze, w której wychodzi i przychodzi. Te wszystkie szczegóły na razie nie interesowały go wcale, uważniej jednak zaczął słuchać, gdy stróżka mówiła:

— Ostatniej nocy wrócił dopiero koło drugiej godziny. Poznałam go zaraz po chodzie, gdyż zawsze idzie bardzo lekko. O piątej nad ranem przyszedł ktoś do niego, lecz po kilku minutach wyszedł, a wkrótce za nim poszedł i pan Coche. Może kto w rodzinie zachorował i został wezwany; rodzice jego mieszkają na prowincyi.

— To możliwe — myślał ajent — lecz tylko możliwe. W każdym razie za dużo tutaj widzę niejasnych punktów. Dokończył szybko listu, podpisał go zmyślonem nazwiskiem i zapieczętował, poczem wstał.

— Może pani będzie łaskawa oddać mu to wraz z listami. Ponieważ mam pilny interes, przyjdę dopiero jutro rano koło dziewiątej, może do tego czasu już wróci...

— Dobrze proszę pana, o tej godzinie zastanie pan i posługaczkę pana Coche'a.

Podziękował i wyszedł. Nabrał już przekonania, że adresat wymieniony na podartej kopercie i Onesime Coche to jedna osoba. Jego zaś zniknięcie w nocy, w której spełniono zbrodnię, wskazuje jasno, iż między tymi dwoma faktami zachodzi pewien związek.

Javel, gdy kogoś poszukiwał, zadawał sobie zazwyczaj pytanie, nie, co poszukiwany może uczynić najmądrzejszego dla ujścia jego pościgu, lecz co zrobi najgłupszego, najniezręczniejszego. Największym błędem Coche'a byłoby, gdyby wrócił do swego mieszkania, ajent więc stosownie do swej zasady winien tego spodziewać się. Gdy człowiek zmuszony strzedz się policyi, ma do wyboru dwie rzeczy, rzadko bardzo zdarza się, by wybrał lepszą. Kierując się roztropnością, winien Coche unikać ulicy de Douai i dlatego właśnie Javel postanowił tam go oczekiwać. I rzeczywiście ulokował się w pobliżu we framudze jakiegoś domu i zaczął czekać.

VII.

Wychodząc z biura telefonicznego Coche uspokoił się cośkolwiek po poprzedniem zdenerwowaniu. Od trzech dni nikogo nie widział, niczego nie dowiedział się, poznał chyba tylko udręczenia człowieka śledzonego. Chciał doznać wszelkich wrażeń, a przekonał się o jednej tylko rzeczy, że największą męką przestępcy jest nieświadomość, w jakiej pozostaje. Ponadto denerwowały go rozmaite niewygody, jakie musiał znosić, jak brak bielizny, pognieciony kołnierzyk, brudne mankiety; wszystko to irytowało go, wprost osłabiało. Postanowił wreszcie pójść do siebie, lecz dopiero po zgaszeniu świateł na schodach, by go stróżka nie widziała; istotnie około północy zatrzymał się przed bramą. Javel, który zbliżył się niepostrzeżenie, uśmiechnął się tryumfalnie, rozpoznając go w mroku. Zwierz wpada w pułapkę! Zawrócił na swój posterunek, nie tracąc jednak z oczu bramy. Przechodzący tamtędy policyanci, widząc, że tak bacznie przypatruje się domowi, zaczepili go:

— Na co pan tutaj czeka?

Odpowiedział im, nie odwracając głowy:

— „Policya“ i pokazał swój znaczek.

Policyanci skłonili się i odeszli.

Po pół godzince, gdy Coche jeszcze nie wychodził, Javel, nie wiedząc, dlaczego on tak długo tam pozostaje, myślał:

— Czyż śmiałby on spać u siebie?... Jeżeli nie jest winnym, jeżeli wyjazd jego niema żadnej łączności z tą sprawą, nie byłoby to nic dziwnego. Wszedł razem z komisarzem do tego pokoju i mógł zgubić tam te kartki... a jednak...

Taka nim owładnęła chęć przekonania się o wszystkiem, iż nie czuł nawet zimna, które coraz wzmagało się. Przechodnie stawali się coraz rzadsi. Dla rozprostowania zesztywniałych członków począł spacerować na małej przestrzeni. Wreszcie koło drugiej godziny drzwi się otworzyły. Przez chwilę Coche zatrzymał się przy bramie, rozejrzał się we wszystkie strony i ruszył naprzód. O kilkanaście kroków za nim posuwał się Javel. Minęli w ten sposób bulwary i przeszli most na Sekwanie.

— Do dyabła, gdzież on mnie prowadzi—mruczał Javel, widząc, że Coche kieruje się w stronę placu św. Michała — lecz dokądby on nie poszedł, ja go już nie puszczę.

Coche wszedł na bulwar Saint Michel i zatrzymał się koło Luksemburgu, jakby dla zoryentowania się.

— Cóż to ma znaczyć? — myślał Javel. Przecież on zna dzielnicę, a sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, czego chce...

Akurat w chwili tej obrócił się Coche. Wejrzenia ich skrzyżowały się. Javel nie poruszył się, lecz Coche zadrżał i ruszył szybko w stronę obserwatoryum. Bulwar był zupełnie pusty, ajent łatwo więc mógł śledzić swoją ofiarę. Pościg ten począł go denerwować, odczuwał już zmęczenie i zimno. Chwilami doznawał chęci rzucić się na Coche'a i schwycić go za kołnierz, lecz jeżeli był on niewinny, jakiż wielki wyniknąłby z tego skandal? Klnąc ze złości, nie przestawał iść za nim. Coche może wreszcie wejść do jakiego domu i położyć się spać, a on będzie musiał czekać pod drzwiami aż do rana w tę mroźną noc, o pustym żołądku, cały przemarznięty. Nagle usłyszał za sobą czyjś głos.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Z półek księgarskich.

O hetmanie Żółkiewskim wydała Macierz polska książeczkę Dra Fryderyka Papéego z powodu wrześniowego obchodu w Żółkwi. O poczytności dziełka świadczy fakt, że wychodzi w trzeciem już wydaniu. Istotnie książeczka to niezwykle zajmująca, napisana przystępnie a pięknie, przemawiająca żywo do uczuć patryotycznych. Tekst, ozdobiony kilku rycinami, liczy stron 56 Cena 20 hal.

Biblioteka lwowska. Nakładem i staraniem »Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa«, jako drugi tomik »Biblioteki lwowskiej« wyszł praca p. Franciszka Jaworskiego p. t. **Cmentarz gródecki we Lwowie.** Dziełko, ozdobione 11 rycinami podaje historyę cmentarza, cały szereg wspomnień o zmarłych, na tym cmentarzu pochowanych, oraz stan jego dzisiejszy, bardzo opłakany. Ze względu, że cmentarz gródecki zniknie niebawem z powierzchni Lwowa, posiada wyżej wspomniane dziełko do pewnego stopnia wartość aktualną, zwłaszcza dla rodzin, których członkowie spoczywają na zapomnianym cmentarzu. Również i kwestya przyszłego przeznaczenia cmentarza gródeckiego poruszoną została w pracy p. Jaworskiego celem wywołania publicznej w tej sprawie dyskusyi. Członkowie Towarzystwa miłośników przeszłości Lwowa« otrzymają drugi tom »Bibliotekl lwowskiej bezpłatnie, dla niecżłonków ustanowiono cenę księgarską 2 K.

Rozwiązanie zagadek z Nru 37.

Szarada.

Koniak, malaga.

Kwadrat magiczny.

Cezar, Erato, zatem, Atena, Roman.

Logogryf.

Jaka praca, taka płaca.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, Skodówna Stróże, M. Rożański Lipinki, A. Seiboth Kęty, M. Serbeńska Budzanów, Z. Gryziecki Tarnopol, A. Suchecki Falniów, M. Sekel i J. Malowaniec Jaktorów, ks. W. Skopiński Padew, J. Dickmannowa Szczawnica, E. Zażulińska Olszanica, Wł. Czeppe Tarnobrzeg, J. Brandt Dobrzelin, B. Jaworski Poturzyca, A. Nikosiewiczowa Krzywe, J. Młodzianowska Przeworsk, M. Janoszek Brzesko, M. Országh Wołomin, W. Chajec Moderówka, S. Spunda Zielone-Kociubińczyki, H. Ptaszyńska Lwów, Czytelnia polska Krechowice, K. Stadnicka Kołomyja, W. Paluchowski Stryj, S. Pileski Halicz, L. Garfunkel Kraków, E. Golas Zabierzów, S. Przestalska Stryj, M. Radlmesser Swoszowice, J. Badura Rożdzień, A. Rotter Stanisławów, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Lisowska Papiernia, J. Wyszatycki Jarosław, ks. J. Nowina Sroczyński Siedlce, W. Stanula Samocice, A. Zimmerowa Mikulińce, A. Rogoszówna Drohobycz. W. Laskowski Warszawa, Z. de Boulange Gawłówek, B. Ramułtowa Bochnia, K. Małek Kołaczyce, L. Złochowski Zaleszczyki, J. Wielgus Wadowice, G. Adam Lwów, Stowarzyszenie ku wspieraniu położnic Tarnów, A. Mussil Lwów, St. Staśko Rzeszów, M. Arbesbauer Lwów, S. Hufnagel Warszawa, E. Zipperchalska Olszanka, M. Stachowicz Kraków, W. Wróbel Kołomyja, J. Januszewski Podgórze, M. Witkowska Łańcut, A. Bocsoń Bóbrka, Z. Polakiewiczowa Łomna, ks. J. Dulian Padew, Z. Gaudnik Stary Sącz, J. Heyman Warszawa, A. Markowski Przemyśl, K. Schnitzel Tarnów, K. Fuchs Czeremchów, Sokólski Rozwadów, J. Hubl Tarnawa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Z. Gryziecki Tarnopol. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

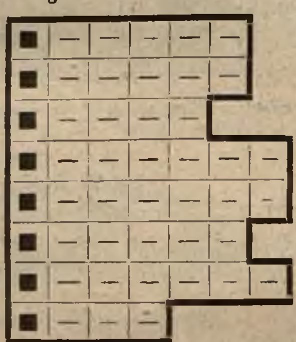
Ułożył Eug. Osa.

Pierwsze jest literą w polskim alfabecie.
Porą roku w trzecim przypadku. to drugie i trzecie,
Czwartem naśladujemy trąbkę, czyniąc to ustami,
Całość zaś imię chrzestne między niewiastami.

Logogryf.

Ułożył T. Kawa, Stanisławów.

Zamiast kwadratów i kresek wstawić litery, aby początkowe czytane z góry na dół, dały nam nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Sławny polski matematyk. 2. Imię męskie. 3. Państwo w Europie. 4. Starożytny śpiewak-poeta. 5. Kraj w Afryce, obecnie wszyscy o nim mówią. 6. Ptak śpiewający. 7. Sekta żydowska, nie uznająca talmudu. 8. Syn starożytnego mitycznego »Zeppelina«, twórcy pierwszego przyrządu do latania w powietrzu.

Szarada.

Ułożył Zygmunt Gaudnik.

Gdy kto jest głodny, pierwszą się posłuży,
Drugą, zwą tego, komu czas się dłuży.
Całość zwierz znany, co szybko umyka,
Zwłaszcza, gdy strzelca wśród kniei spotyka.

Szarada.

Ułożył A. Bocsoń, Bóbrka.

Szukajcie całości, napewno znajdziecie
Je w lesie czerwone i w grona złączone.
Pierwsze to litera, a drugie i trzecie,
Zwykle z konopi lub drutu plecione.

Arytmogryf.

Ułożył Sęp z Królestwa Polskiego.

Cyfry zastąpić głoskami tak, aby środkowe litery, czytane z góry na dół, dały nazwisko dwu bohaterów polskich, których pamiątkę niedawno obchodzono.

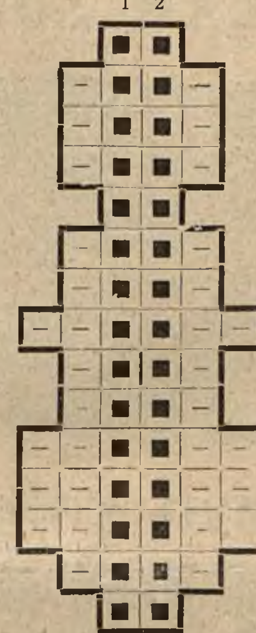
					13					
				18	4	23				
					2					
				33	11	10				
			2	18	4	13	10			
		24	28	3	33	3	12	13		
		24	31	18	13	10	28	27		
		32	28	33	23	3	30	7		
			23	10	7	13	10			
				11	4	18				
			7	33	7	33	11			
		24	10	28	10	11	12	13		
		23	3	10	22	10	28	27		
		23	3	26	31	28	5	33		
			26	4	2	7	33			
		26	4	30	15	3	30	7		
		18	30	13	4	15	7	4		
		24	5	33	19	23	7	4		
		7	18	4	23	3	12	13		
	23	3	14	33	7	25	33	18	26	
17	31	18	4	10	4	26	10	28	27	10

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Zwierzę z rodziny mięsożerców, 3. Spółgłoska, 4. Zaimek osobisty, 5. Drzewo owocowe, 6. Miasto powiatowe w Galicyi w obwodzie Sanockim, 7. Wały nadrzeczne, przerobione na drogi, obsadzone drzewami, 8. Jarzyna, 9. Inaczej torba, 10. Rzeka w Egipcie, 11. Oprzęd, jaki wytwarzają gąsienice niektórych owadów, 12. Miasteczko w Galicyi nad Wisłą, sławne zamkiem starożytnym, 13. Nazwisko rodu arystokratycznego na Węgrzech, 14. Znany w początku XIX stulecia filolog i pedagog w Warszawie, tłumacz Iliady, 15. Tak górale nazywają niedźwiedzia, 16. Zdrobniałe imię męskie, 17. Historyk polski, niedawno zmarły, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, 18. Botanik warszawski, znakomity znawca grzybów, 19. Wieś w gubernii kieleckiej, pamiętna walką Karola XII z Augustem II, 20. Stolica Szwecyi, 21. Dwa imiona żeńskie, połączone spójnikiem.

Logogryf.

Ułożył J. Januszewski.

Kwadraty i kreski zastąpić tak literami, aby litery w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, dały w pierwszym szeregu imię i nazwisko sławnej powieściopisarki polskiej, w drugim szeregu poetki polskiej.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska, spółgłoska. 2. Roślina lekarska, używana na kaszel. 3. Instrument muzyczny. 4. Część świata. 5. Dwie samogłoski. 6. Węgiel, pozbawiony gazu świetlnego. 7. Rodzaj łodzi. 8. Inaczej »odczuć«. 9. Imię męskie. 10. Choroba, niebezpieczna szczególniej u dzieci. 11. Miasto w Wielkopolsce. 12. Część ubioru męskiego lub damskiego. 13. Rozprawa sądowa. 14. Imię żeńskie zdrobniałe. 15. Dwie samogłoski.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania W. Sclavus: **»Księżna Łowicka«**, Powieść 2 tomy.